ANDROMAKA.

TRAGEDYA RASYNA.

Przełożył

FRANCISZEK DZIERŻYKRAJ MORAWSKI.

OSOBY.

Andromaka, wdowa po Hektorze.
Pirrus, król Epiru.
Hermiona, córka Menelasa, zaślubiona Pirrusowi.
Orest, syn Agamemnona.
Pilad, jego przyjaciel.
Fenix, poufały Pirrusa.
Cefiza, powiernica Andromaki.
Kleona, powiernica Hermiony.

Scena w Butrocie, mieście Epiru, w pałacu Pirrusa.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

ORESZT. PILAD.

OREST.

Tak, gdym ciebie odzyskał zbyt drogi Piladzie,
Niebo memu nieszczęściu może koniec kładzie
Już się nawet, od chwili naszego złączenia,
Ta srogość jego dla mnie w mniéj dotkliwą zmienia.
Któżby rzekł że w tém miejscu, skarg moich przedmiocie,
Ty najpierwszy Oresta powitasz w Butrocie.
Że po sześciu miesięcach jak twéj straty płaczę,
Tu na dworze Pirrusa znowu cię zobaczę.

PILAD.

Dzięki składam Niebiosom, co ten przeciąg cały
Drogę mi do Grecyi zamykać się zdały,
Od téj chwili okropnéj jak Neptun zacięty,
W oczach Epiru nasze rozłączył okręty.
Ach ileż w tém wygnaniu nie doznałem trwogi,
Iluż łzami oblałem ten los twój tak srogi!
Nowe-m dla cię nieszczęścia przeglądał z bojaźnią,
W którychbym cię tą smutną nie wspierał przyjaźnią.
Ale nadwszystko w każdéj lękałem się dobie
Tych czarnych myśli, które polubiłeś sobie,
I by Nieba ku twojéj zagubie łaskawsze
Nie dały ci téj śmierci, któréjś szukał zawsze.
Lecz cię widzę, i jeźli powiedzieć się godzi,
Szczęśliwszy do Epiru dziś cię los przywodzi.
Nigdy z tak okazałym dworem nie przybywa
Nieszczęśliwy co saméj tylko śmierci wzywa.

OREST.

Nie znam mojéj przyszłości. Miłością wiedziony,
Raz jeszcze do okrutnéj wracam Hermiony.
Lecz któż wie czy ją zmiękczę, czy los mój złagodzę,
I czy tutaj po życie, czy po śmierć przychodzę?

PILAD.

Co? tak-że się to w twoim zaciekłeś obłędzie,
Że nawet i twém życiem już rozrządzać będzie?
Tak-że to łatwo pamięć twych cierpień utracasz,
Że znowu samowolnie w dawne jarzmo wracasz?
Mniemasz że Hermonia łzy twoje osuszy?
Że w Sparcie niezbłagana, w Epirze się wzruszy?
Jużeś sobie był zbrzydził tę miłość daremną.
A nakoniec już o niéj zamilkłeś przedemną, —
Zwiodłeś mnie

OREST.

Siebiem zwodził. Niechciéj mnie obwiniać,
I sercu, co cię kocha, boleści przyczyniać.
Którychżem ja to uczuć tobie się nie zwierzył?
Widziałeś jak ten płomień zajął się i szerzył:
Nakoniec gdy Menelas wdzięcznością wiedziony
Przeznaczył dla Pirrusa rękę Hermiony,
Widziałeś, jak okrutną rozpaczą miotany,
Po morzach wlokłem moją boleść i kajdany.

O jakżeś w ówczas twoją przyjaźnią mnie smucił,
Ty coś ze mną na wszystkie nieszczęścia się rzucił,
Ty coś zawsze do słodszych uczuć mnie nakłaniał,
I stokroć mnie przed własną wściekłością zasłaniał.
Ale gdy się wśród mojéj dowiedziałem męki,
Że sama śmie Pirrusa swemi łudzić wdzięki,
Wiesz, jaki gniew zaciekły wówczas zawrzał we mnie,
Chciałem ją wydrzeć z myśli, wzgardzić nią wzajemnie,
Wszystkich, sam siebie, moim uwiodłem zapałem,
Każde moje uczucie za nienawiść brałem,
Poniżałem jéj wdzięki, srogościom złorzeczył,
I śmiało-m jéj nademną, — wszelkiéj władzy przeczył.
Tak, sądząc że jéj obraz już we mnie zatarty,
W téj zwodnéj spokojności, wróciłem do Sparty.
Wszystkie się właśnie wodze do rady zebrały,
Z tą obawą, jak gdyby szło o naród cały.
Pobiegłem do nich, pewny że sława i boje
Godniejszym mnie przedmiotem zajmą duszę moję,
I że dawną nad sobą znów odzyskam władzę,
Nakoniec że tę miłość już z serca wygładzę. —
Lecz dziw się jak to Niebo jest na mnie zaciekłem,
Odwodzi mnie w tę przepaść, od któréj uciekłem.
Słyszę jak się z stron wszystkich na Pirrusa srożą,
Jak nań Grecy sarkają, i wojną mu grożą,
Że niepomny krwi swojéj i danego słowa
Dotąd syna Hektora na swym dworze chowa;
Że łaską, że potęgą śmie osłaniać swoją
Tę resztę tylu królów, przywalonych Troją...
Słyszę wreście że Pirrus z Hermonią zrywa,
Inną kocha, zaślubia, i do tronu wzywa.
Menelas wieść tę bierze za odgłos potwarzy,
Skrycie jednak na zwłokę jéj ślubów się skarży;
Im większym go ta bojaźń dręczy niepokojem
Tém silniéj skryta radość rośnie w sercu mojém. —
Sądziłem że ją sama chęć zemsty budziła,
Lecz ta droga pociecha, jakże krótką była!
Wkrótce, wkrótce, niewdzięczna rozżarzyła we mnie
Iskrę dawnych płomieni, tlejącą tajemnie;
Czułem że serce moje znów się zmiękczać dało,
Lub raczéj że jéj nigdy kochać nie przestało.
Całą więc ufność w Greków złożyłem wyborze.
Ogłaszają mnie posłem; puszczam się na morze,
Przychodzę się przekonać czy nam Pirrus zwróci
To dziecię, co spokojność tylu ludów kłóci.

Szczęśliwy, jeźli niebo na ulgę méj doli,
Zamiast niego, kochankę wydrzeć mi dozwoli;
Gdyż nie sądź by ta miłość, co tak silnie pała,
Tysiącem niebezpieczeństw zatrwożyć się dała:
Widząc że próżno walczę, że zawsze ulegnę,
Ślepo gdzie mnie porywa, rzucam się i biegnę.
Przychodzę więc kres mojéj położyć rozpaczy,
Lub ją zmiękczę i wydrę, lub zgon mój obaczy.
Ty znasz Pirrusa, jakież czynisz mi nadzieje?
Cóż się na jego dworze, w jego sercu dzieje?
Zawszeż dla Hermiony, dawnym ogniem płonie?
Czyli go téż z łatwością do jéj zwrotu skłonię?

PILAD.

Niedobrzebym się twojéj przyjaźni wywdzięczał,
Gdybym ci za jéj powrót, tak śmiało zaręczał.
Nie ażeby go miała łudzić zdobycz taka,
Gdyż sercem jego sama rządzi Andromaka,
Kocha ją, ale dotąd bez żadnéj korzyści,
Odbiera tylko samą wzgardę, nienawiści.
Tysiączną do jéj serca dobija się drogą,
To chce skłonić prośbami, to przymusić trwogą,
To jej syna wydziera, to znowu nim cieszy,
I ledwie łzy wycisnął, już je otrzeć śpieszy.
Stokroć on jéj oporem, wzgardą rozjątrzony,
Powracał z sercem swojém do nóg Hermiony;
Mimowolną z swych uczuć składał jéj ofiarę
I z wściekłości przyrzekał i miłość i wiarę.
Mogęż więc za to serce zaręczać ci śmiało,
Które samo nad sobą władzy ma tak mało?
Może on, w tém wahaniu którą ma poślubić,
Złączyć się z nienawistną, a kochankę zgubić.

OREST.

Lecz jakże dotąd zniosło serce Hermiony
Tę pogardę jéj wdzięków, i ten ślub zwleczony?

PILAD.

Długo zimnym pozorem kryła swoją ranę,
I nie zdała się zważać na kochanka zmianę.
Długo nawet sądziła, że chcąc gniew jéj zbłagać,
Sam o dawne swe więzy przyjdzie się domagać:
Ale wreście mi swoje odsłoniła serce;
Często ona na swego płacze przeniewiercę,
Zawsze się, lecz daremnie, na odjazd zdobywa,
A nawet i niekiedy ciebie w pomoc wzywa. —

OREST.

Gdybym mógł temu wierzyć, biegłbym moją radość
U nóg.....

PILAD.

Uczyń wprzód twojéj powinności zadość.
Czekasz na króla. Przemów, powiedz jak zaciekli
Wszyscy Grecy śmierć syna Hektora wyrzekli.
Ale nie sądź ażebyś zyskał skutek jaki:
Nigdy on im nie wyda syna Andromaki.
Zwiększą oni tę miłość nienawiścią swoją,
I chcąc zerwać ten węzeł, tém silniéj go spoją....
Idzie....

OREST.

Niech mi przynajmniéj widzieć się ją godzi,
Mnie, którego jedynie miłość tu przywodzi.

SCENA II.

Pirrus. Orest. Fenix.

OREST.

Niźli, jak poseł Greków, przemówię ich głosem,
Pozwól, Panie, wprzód moim szczycić mi się losem,
Żem ich wybór uzyskał. Radość ta przystoi,
Widząc syna Achilla, i pogromcę Troi.
Równą się w oczach naszych zaszczycacie chlubą:
On zgładzeniem Hektora, — Ty Troi zagubą.
Dowiodłeś, zawsze pierwszy gdzie nas bój powołał,
Że tylko syn Achilla, Achillem być zdołał.
Lecz Panie, sam nad żalem Greków się zastanów:
Dodajesz świetnéj wagi nieszczęściu Trojanów.
Nie chowałby twój ojciec, stalszym gniewem zbrojny,
Ostatniego zarzewia, tyloletniéj wojny.
Panie, czyś już Hektora stracił pamięć srogą?
Grecy go wyniszczeni zapomnieć nie mogą.
Drżą na jego wspomnienie nasze córy, wdowy,
Cała Grecya woła syna jego głowy,
W tém nieszczęsném dziecięciu Hektora przeklina,
Na niém się tylu mężów, ojców, dopomina...
I któż wie, co los temu zachował synowi?
Może aż do nas przyjdzie, pamięć ojca wznowi,
Zapali nasze nawy, i w wściekłym zapędzie,
Z ogniem w ręku, po morzach jeszcze ścigać będzie.

Mamże wreście otwarte wynurzyć ci zdanie,
Sam okropnéj nagrody obawiaj się, panie,
By kiedyś wąż ten zdradny, coś go chował, bronił,
Nie ugodził w to serce, pod któreś go schronił.
Tak w wspólnéj nam i tobie wzywam cię potrzebie.
Idzie o zemstę Greków, o samego ciebie;
Grecy bowiem na niego tém są zawziętszemi
Że się na tobie wprawi, jak ma walczyć z niemi.

PIRRUS.

Grecya losem moim zbytecznie się trudzi.
Sądziłem że jéj trwogę większy powód budzi,
Że do wyższych, godniejszych zamiarów się wzniosła;
Zwiodłem się tak dostojném imieniem jéj posła;
Syn-że to Wodza Królów w takiéj stawa sprawie?
Któżby rzekł by lud cały, i tak znany sławie,
Znany zawsze z wielkości swego przedsięwzięcia,
Miał się sprzysiądz na zgubę jednego dziecięcia?
Lecz zkądże to Grecya tak nastawa na nie,
I na czémże to swoje opiera żądanie?
Każdy z was mógł do woli swym brańcem rozrządzić;
Mnież to jednego chcecie od tych praw odsądzić?
Gdyśmy pod gorejącym jeszcze Ilionem,
Skrwawionym zwycięztw naszych dzielili się plonem,
Wówczas to wyrok losu, który wszystkiém władał,
Do Andromaki z synem to prawo mi nadał.
Twój ojciec wziął Kassandrę, a Ulyss Hekubę:
Nastawałżem ja w ten czas na ich branek zgubę?
Chciałżem ja sobie prawo przywłaszczać nad niemi,
Lub rozrządzać łupami, krwią ich zdobytemi?
Trwoga wasza w tym synie przyszłą widzi Troję;
Za życie ocalone ma mi wydrzeć moje;
Zbyt jest trudném odwracać tyle razem losów;
Nie umiem przewidywać tak dalekich ciosów.
Dość dla mnie kiedy pomnę na Ilion dawny,
Jak był silny, potężny, z ilu mężów sławny,
Gdy pomyślę że całéj Azyi był Panem,
Słowem, nad jego dawnym a dzisiejszym stanem;
Cóż widzę? wszystko ręką zburzone morderczą,
Spalone tylko wieże nad gruzami sterczą,
Krew, trupy, i pustynie, i w kajdanach dziecię...
Takiéjże mi to Troi, lękać się każecie? —
Jeźliśmy syna tego zagubę wyrzekli,
Czemuśmy jéj spełnienie, przez rok cały zwlekli?

Mógł zginąć wraz z Pryamem, czemuż uszedł zgonu?
Czemuż go nie przygniotły mury Ilionu?
Wszystko tam prawném było. Próżno wiek zgrzybiały,
Prożno i dzieci w swoją niewinność ufały;
I mocą i zwycięztwem zaślepieni razem,
Na wszystkośmy się błędném rzucali żelazem.
Aż nadto gniewu mego wywarłem na Troję:
Ma-ż jeszcze okrucieństwo przetrwać zemstę moję?
Chcecież bym temu sercu litości zakazał?
Chcecież bym się haniebnie krwią dziecięcia zmazał?
Nie, Panie. — Inną sobie ofiarę wybierzcie,
Na smutne szczątki Troi gdzieindziéj uderzcie,
Gniew mój raz przygaszony, już się nie zapali,
Co Troja ocaliła, i Epir ocali.

OREST.

Panie, czyliż nie pomnisz, przez jak chytrą zdradę,
Inne nam dziecię na tę oddano zagładę,
Na którą syn Hektora sam został skazany?
Hektor to naszym wrogiem, ale nie Trojany.
Tak, — w synie jeszcze ojca ścigać nie przestaniem,
Dokupił się téj zemsty tylu krwi przelaniem;
W saméj tylko krwi jego ta zemsta ostygnie,
Inaczéj celu swego aż tutaj doścignie.

PIRRUS.

Czekam was, rozpocznijcie te tak świetne boje,
Przyjdźcie, przyjdźcie w Epirze drugą burzyć Troję,
Przyjdźcie nad nikim waszéj zemsty niezawieszać,
Przyjdźcie krew waszych wodzów z krwią jeńców pomieszać.
Nie pierwsząby to od was ta niewdzięczność była.
Zawsze nią Achillowi Grecya płaciła.
Jak Hektor z niéj korzystał, dobrze o tém wiecie:
Może także z niéj kiedyś korzystać to dziecię.

OREST.

Więc wojną będziesz przyjaźń Grecyi odwdzięczał?

PIRRUS.

Czyż na to zwyciężałem, bym w jéj jarzmie jęczał?

OREST.

Hermiona ten gniewny zapał ułagodzi,
I z łatwością cię, Panie, z swoim ojcem zgodzi,

PIRRUS.

Mogę w mojéj miłości, dla niéj nie ostygać,
Kochać ją, przecież kajdan jéj ojca niedźwigać.
Wkrótce ja może nawet godnie zaspokoję
I skłonność mego serca, i dostojność moję.
Możesz się jednak, Panie, udać do królewny;
Zbyt dobrze mi jest znanym wasz związek pokrewny.
Potém powróć do Greków i donieś im, Panie,
Jak w Epirze podobne przyjmują żądanie.

SCENA III.

Pirrus. Fenix.

FENIX.

A więc sam go ślesz, Panie, w tak miłe mu progi?

PIRRUS.

Słyszałem że ją kochał.

FENIX.

I ślesz go bez trwogi?
A gdyby téż ta miłość, tak silna i stała,
Zajęła się na nowo i wzruszyć ją miała?

PIRRUS.

Niewzbraniam jéj, Fenixie, niechaj ją odpłaca,
Niech się cieszy swém szczęściem, niech do Sparty wraca.
Wszystkie porty mojego państwa jéj otworzę.
Ileż mi trosk oszczędzi! — Ale w innéj porze
Zwierzę ci się mych cierpień. Andromaka wchodzi.

SCENA IV.

Andromaka. Pirrus. Cefiza. Fenix.

PIRRUS.

Pani, czyliż mnie płonna nadzieja niezwodzi,
Żeś do mnie tu spieszyła?

ANDROMAKA.

Idę w te podwoje,
Gdzie ty, Panie, pod strażą trzymasz dziecię moje,

Ponieważ raz mi na dzień, ten z tylu pamiątek
Ostatni i nieszczęsny wolno widzieć szczątek,
Idę więc z nim zapłakać, tęsknotą wiedziona,
Jeszczem go dziś do mego nie tuliła łona.

PIRRUS.

Ile z przestrachu Greków mogę wnosić, Pani,
Wkrótce cios boleśniejszy serce twoje zrani.

ANDROMAKA.

I zkądże ten ich przestrach nagły, niespodziany?
Czyliż który z Trojanów zerwał swe kajdany?

PIRRUS.

Hektora to ścigają dotąd zemstą swoją,
Boją się jego syna....

ANDROMAKA.

Dziecięcia się boją!
Dziecięcia, które dotąd swojéj nie zna doli,
Że jest synem Hektora, a w twojéj niewoli!

PIRRUS.

Żaden wzgląd go przed gniewem Greków nie ocali,
I już, z wyrokiem śmierci, Oresta przysłali.

ANDROMAKA.

I ty byś miał się Panie, takim splamić czynem?
Czyż dla tego jest winnym, że moim jest synem?
Nie pomsty to za ojca, nie jéj się lękacie,
Lecz by mnie nie pocieszał po Hektora stracie.
Byłby on mi Hektorem i ojcem w potrzebie
Lecz wszystko tracić muszę, a wszystko przez Ciebie.

PIRRUS.

Jużem, Pani, łzy twoje uprzedził odmową,
Już nawet Grecy zemstą grożą mi surową;
Ale choćby z tysiącem naw tu przybyć mieli,
I o syna się twego dopominać śmieli,
Choćbym równą Trojańskiéj znów miał wojnę toczyć,
I sam siebie tych murów gruzami przytłoczyć,
Nic mnie wstrzymać nic zdoła, na pomoc mu biegnę,
I byle on ocalał, ja chętnie polegnę.
Ależ gdy się dla ciebie w taką przepaść ciskam,
Czyż nigdy łaskawszego spojrzenia nie zyskam?

Nie dosyćże to całą Grecyę odpierać,
Trzebaż się jeszcze z twojém okrucieństwem ścierać?
Będę walczył za ciebie, lecz przy téj obronie
Przyjmij razem i serce, co dla ciebie płonie.
Dozwól bym w twojéj sprawie, krwawe tocząc boje,
Ciebie nie liczył między przeciwniki moje.

ANDROMAKA.

Panie, cóż Grecy rzekną, na odgłos téj wieści?
Tyleż się to słabości, w wielkim mężu mieści?
Chceszże aby w tym pięknym i wspaniałym czynie,
Płochy zapał miłości widziano jedynie?
Wreście w czémże ta miłość tak ponętna tobie,
Branki, zawsze płaczącéj, i nieznośnéj sobie?
Czémże Cię łudzić mogą te oczy skazane
Przez Ciebie na łzy wieczne, łzy niewypłakane!
Nie, Panie. Nędzę twoich przeciwników skrócić,
Szanować ich nieszczęście, matce syna wrócić,
Z tysiącznemi za niego ścierać się narody,
A przecież żadnéj po mnie nie żądać nagrody,
Dać mu nawet schronienie, mimo mojéj winy,
Takie to krwi Achilla przystałyby czyny.

PIRRUS.

A więc nic już do słodszych uczuć cię nie nagnie?
Któż zawsze nienawidzi, zawsze kary pragnie?
Prawda żem mnóstwo ofiar na łzy wieczne skazał,
I żem krwią twego domu stokrotnie się zmazał,
Lecz jakże na mnie twemi pomściłaś się wdzięki,
Jak łzy twoje krwawemi przypłaciłem męki!
Każde moje wspomnienie w zgryzotę się zmienia,
Odpłaciłaś mi wszystkie Trojanów cierpienia,
Znękany, obarczony, kajdan twych ciężarem....
To serce tak gwałtownym trawione pożarem....
Tyle starań, miłości, tyle mąk i trwogi....
Niestety, byłżem kiedy, równie jak ty srogi!
Lecz, Pani, zaprzestańmy sobie wzajem szkodzić,
Ta wspólność nieprzyjaciół, powinna nas zgodzić.
Powiedz tylke że może nie kocham daremnie,
Zaraz ci wrócę syna, znajdzie ojca we mnie.
Ja sam go uczyć będę jak ma pomścić Troję,
Sam pójdę karać krzywdy, i twoje i moje.
Jedno słowo, a ujrzysz, jak odpłacę za nie,
Tak jeszcze twój Ilion z swych gruzów powstanie.

Mogę prędzéj niż Grecy zdołali go zgładzić,
Wznieść go i syna twego na tronie osadzić.

ANDROMAKA.

Już nas, Panie, nie łudzi tak wysoka chwała.
Śmiało-m mu ją za życia ojca przyrzekała.
Nie, już nas święte mury, widzieć nie będziecie,
Gdy was Hektor mój bronił, a ległyście przecie.
Nieszczęście w chęciach swoich skromniejszém jest, Panie,
Nie o tron ja cię błagam, ale o wygnanie.
Od Greków, Ciebie nawet, pozwól się oddalić,
Płakać skrycie po mężu, i syna ocalić.
Nazbyt Greki rozjątrzasz, i zamiast obrony
Gubisz nas twą miłością. Wróć do Hermiony.

PIRRUS.

I jakąż w mękach moich znajdujesz ponętę?
Jakże jéj oddam serce przez ciebie zajęte?
Wiem ja Pani, żem berło przyrzekł Hermionie,
Wiem, że po to przybyła by osieść na tronie,
I że los, co w te mury sprowadził was obie.
Jéj przeznaczył koronę, a kajdany tobie.
Ale czyż się starałem miłość w niéj obudzić?
Kogóż raczéj ten pozór nie zdołałby złudzić,
Któżby nie rzekł, tę różność waszéj widząc doli,
Że ty jesteś królową, a ona w niewoli?
Gdybym do niéj choć jedno rzekł podobne słowo,
O jakążby radością ożyła na nowo!

ANDROMAKA.

I czemużby je miała oziębłością płacić,
Miałażby pamięć tylu przysług twoich stracić?
Słyszyż to ona w sobie wołającą Troję?
Słyszyż męża, któremu winna wierność swoję?
Jakiego jeszcze męża! O losy zbyt krwawe!
Sam zgon jego uwiecznił ojca twego sławę.
Samą to krwią Hektora oręż jego słynie,
I oba przez łzy moje znaniście jedynie!

PIRRUS.

Trzeba więc woli twojéj poddać się koniecznie,
Zapomnieć cię, lub raczéj znienawidzieć wiecznie.
Wiedz bowiem, że to serce zanadto kochało,
Aby, na oziębłości saméj przestać miało.

Serce to nie zna miary, wahaniem się brzydzi,
Gdy nie kocha bez granic, wściekle nienawidzi.
Nikogo słuszna moja zemsta nie ominie,
Wszystkie pogardy matki ukarzę na synie.
Grecya chce téj śmierci. I mnie téż ta chwała
Ocalania niewdzięcznych już łudzić przestała.

ANDROMAKA.

A więc umrze — niestety! bo w cóż go uzbroję.
Już ma tylko łzy matki, i niewinność swoję.
Może téż wreście, Panie, niebo mnie pocieszy,
I śmiercią tego syna moję śmierć przyspieszy.
Dla niegom tylko żyła, i jego téż torem
Pójdę nakoniec z moim złączyć się Hektorem.
Tak więc, Panie, ta cała nieszczęsna rodzina
Przez ciebie połączona . . . .

PIRRUS.

Idź Pani do syna.
Może, iż widok jego litość w tobie wzbudzi,
Zatrwoży twoją miłość, i twój gniew ostudzi.
Wkrótce wrócę, by los nasz na zawsze ustalić.
Pomnij wśród twych uścisków, że masz go ocalić.

AKT DRUGI.

SCENA I.

Hermiona. Kleona.

HERMIONA.

Tak, niechcę téj ostatniéj pociechy mu wzbronić,
Chciałaś bym go przyjęła, i dałam się skłonić;
Lecz gdybym serca mego słuchała przestrogi,
Nigdybym go tu w moje nie wpuściła progi.

KLEONA.

Zkądże on w tobie, Pani, taką bojaźń rodzi,
Nie tenże to sam Orest do Ciebie przychodzi,
Któregoś tu przez twoje przyzywała żale,
Z łzami przypominając jak cię kochał stale?

HERMIONA.

Te to czucia, com wzgardą odpłacała za nie,
Tak przykrém mi dziś czynią Oresta spotkanie.
Jakaż dla mnie ohyda, a dla niego chwała,
Kiedy ujrzy, żem jego nieszczęściu zrównała!
Taż to jest, rzeknie, taż to dumna Hermiona?
Pogardzała Orestem, dziś sama wzgardzona.
Nazbyt się wynosiła; niechże w swéj niedoli
Sama teraz doświadczy, jak to wzgarda boli.
O Nieba!

KLEONA.

Próżną, Pani, udręczasz się trwogą.
Pomimo twych okrucieństw, zbyt mu jesteś drogą.

Nie szydzić on tu z twojéj niedoli przybywa.
Sama go tylko wiedzie miłość nieszczęśliwa.
Ależ jakież ci ojciec przesyła zlecenie?

HERMIONA.

Gdyby Pirrus miał swoje łamać przyrzeczenie,
Bronić syna Hektora, lub ślub mój odkładać.
Mam natychmiast z Grekami na okręty wsiadać.

KLEONA.

Wracaj więc, wracaj, Pani, słuszne masz powody.
Tak co Pirrus zamierza, ty dokonaj wprzódy,
Usłuchaj mojéj rady, uprzedź go koniecznie,
Wszakżeś poprzysięgła nienawidzieć wiecznie!

HERMIONA.

Nienawidzieć? ach muszę! o sławę mi idzie.
Mnież to zdradza, mnie w takiéj zostawia ohydzie.
Mnie com tyle dowodów miłości mu dała?
Jak nie mam nienawidzieć, gdym go tak kochała!

KLEONA.

Rzuć go więc i pójdź ziścić Oresta nadzieje....

HERMIONA.

Ach! czekaj, niechaj pierwéj ta zemsta dojrzeje,
Niech się to serce w całą swą wściekłość uzbroi,
Niechaj mnie z moim zdrajcą wieczny wstręt rozdwoi,
Przyspieszą jego zbrodnie tę chwilę tak srogą!

KLEONA.

Co? nowe-ż tylko zbrodnie zbrzydzić ci go mogą?
Zdradza cię, zdradza jawnie, i zdradza dla branki,
Nie dosyćże to jeszcze dla serca kochanki?
Czegoż więc jeszcze trzeba, by twój gniew ocucić,
Dawnobyś go rzuciła, gdybyś mogła rzucić.

HERMIONA.

Czemuż jeszcze, okrutna! jątrzysz boleść moję?
Ja sama w sercu mojém zagłębić się boję.
Nie wierz twym własnym oczom, uwierz że wzgardzony,
Uwierz, ciesz się, i wynoś męstwo Hermiony,
Uwierz, żem go już sobie wiecznie obrzydziła,
Spraw wreście, jeźli możesz, bym i ja wierzyła!
Chcesz bym ztąd uciekała, więc dobrze, uciekam,
Téj niegodnéj zdobyczy na zawsze się zrzekam.

Niechaj własnéj swéj brance hołd nikczemny składa,
Pójdźmy.... Gdyby go przecież dręczyła ta zdrada,
Gdyby mógł serce swoje do wierności zwrócić,
Gdyby miał do nóg moich ze łzami się rzucić,
Gdyby mnie kochał.... gdyby swego przyrzeczenia....
Gdyby chciał.... lecz on tylko mego chce zhańbienia...
Pójdźmy... Nie, nie, zostańmy, by ich szczęście zmieszać,
I własną natrętnością to serce pocieszać.
Zmuśmy go do niewiary, niech się sam ohydzi,
Niechaj cała Grecya jego zbrodnie widzi.
Jużem gniew jéj zacięty ściągnęła na syna,
Lecz nie dość, niech się jeszcze matki dopomina,
Niechaj żadna z mąk moich serca jéj nie minie,
Niechaj ona przez niego, lub on przez nią ginie.

KLEONA.

Możeż, Pani, ta smutna i nieszczęsna branka
Z rozkoszą ci twojego wydzierać kochanka,
I w tenczas gdy synowi jéj grożą morderce,
O swego prześladowcy dobijać się serce?
Jakąż ta miłość jego ulgę jéj przyniosła,
Nie bardziéjże to jeszcze jéj niedola wzrosła,
Wreście, czemuż tak miłym hołdemby gardziła?

HERMIONA.

Ach! na moje nieszczęście nadtom ufną była,
Niechciałam uczuć moich milczeniem pokrywać,
Nie umiałam w szczerości zguby przewidywać,
Z wszelkiéj się surowości dla niego wyzułam,
I idąc za mém sercem mówiłam co czułam.
I któżby nie był całą szczerością odwdzięczył
Tę miłość, którą tylu przysięgami ręczył?
Kleono, czyż on dawniéj cenił mnie tak mało?
Wspomnij tylko, jak wszystko kochać go kazało:
Ta krew moja pomszczona, tryumf greckiéj sprawy,
Te łupem Ilionu obciążone nawy,
Ta przez niego zaćmiona ojca jego chwała,
Ta miłość która moję przewyższać się zdała.
Na mnie.... na siebie pomnij, coś czuła w téj chwili,
Ach! wprzód niż on mnie zdradził, wszyscyście zdradzili!
Lecz dość tego. Już wieczne przysięgłam rozstanie.
Orest ma swoje cnoty, jestem czułą na nie.
Przynajmniéj kochać umie nawet gdy daremnie,
I może wstręt ten kiedyś przezwycięży we mnie.
Niech przyjdzie.

KLEONA.

Oto wchodzi.

HERMIONA.

Nieba, ja z Orestem!
Nie sądziłam, że w takiéj bliskości z nim jestem.

SCENA II.

Hermiona. Orest. Kleona.

HERMIONA.

Cóż cię, Panie, do twego przybycia tu skłania?
Czyliż je mam przypisać reszcie przywiązania,
Czyli téż powinnością jedynie wiedziony,
Przychodzisz zwiedzać progi smutnéj Hermiony?

OREST.

Takim mnie miłość moja zaślepia urokiem,
Tak, na to mnie okrutnym skazała wyrokiem,
Bym każdy powrót, nową męczarnią opłacał,
Przysięgał że nie wrócę, przecież zawsze wracał.
Wiem ja, że te przysięgi tylekroć czynione,
Na nowo dzisiaj łamię, wiem — i wstydem płonę.
Ale te nieba Pani zaświadczyć mi mogą,
Że chcąc raz już zakończyć, tę męczarnię srogą,
Wszędzie, tak wszędzie, biegłem gdziem tylko z daleka
Mógł wnosić, przewidywać, że mnie zguba czeka.
Żebrząc śmierci, zaszedłem w pośród lud ten srogi,
Co krwią ludzką jedynie... swoje miękczy bogi.
Ale do swoich świątyń przystępu mi wzbronił,
Dzikość krew tę szczędziła, którą ja sam trwonił.
Od ciebie się więc muszę téj śmierci domagać,
Téj śmierci, któréj nigdzie nie mogę wybłagać.
Niechaj się tylko twoja oziębłość nie wzruszy,
Niech tę resztę nadziei z mojéj wydrze duszy,
Niechaj słyszę te słowa tylekroć słyszane,
A w téj chwili w twych oczach z życiem się rozstanę.
Takem to już od roku postanowił sobie,
Dokonaj więc ofiary przynależnéj tobie,
Któréjby cię oddawna Scyty pozbawiły,
Gdyby dla mnie tak srogie, jak twe serce były.

HERMIONA.

Przestań temi wyrazy przerażać mnie, panie,
W ważniejszym cię przedmiocie przysłali Spartanie.
Nieczas mówić o Scytach, o srogość mnie winić,
Czyń co winien zastępca tylu królów czynić.
Czyż ich zemstę miłości poświęcać się godzi?
Wreście czyliż o twoję krew Spartanom chodzi?
Pomnij na twą powinność i spełniaj ją godniéj.

OREST.

Pirrus swoją odmową uwolnił mnie od niéj.
Każe mi wracać. Ważnym powodem zmuszony,
Skłonił się już do syna Hektora obrony.

HERMIONA.

Zdrajca!

OREST.

Chwilę więc jeszcze podróż moją zwlekam.
Od ciebie rostrzygnięcia losu mego czekam.
Już mi nawet zawczasu wstręt twój zapowiada,
Jaką dla mnie odpowiedź w téj chwili układa.

HERMIONA.

Zawszeż mi będziesz same wyrzuty powtarzał,
Tak niesłusznie o moją srogość mnie oskarżał?
Zkądże mnie to o twoję obwiniasz niedolą?
Przybyłam tu zmuszona ojca mego wolą.
Lecz któż wie, czym tak słodkie pędziła tu życie,
Czylim twego cierpienia nie dzieliła skrycie,
Czyś sam tylko wyrzekał na srogość wyroku,
I czy żadnéj łzy w mojém niewidziano oku;
Czylim wreście na moję powinność niedbała,
Czasem, panie, powrotu twego niewzywała?

OREST.

Mnie wzywałaś? Ach, pani! czyż mnie słuch mój zwodzi,
Dla mnież to taki wyraz z twoich ust wychodzi?
Pomnij, że mnie to, pani, mnie Oresta widzisz,
Mnie, którego od tylu lat już nienawidzisz.

HERMIONA.

Tak ty to jesteś, panie, z tylu lat mi znany,
Coś mnie kochał najpierwszy, i kochał bez zmiany,
Ty, którym w każdéj chwili sama cnota włada,
Ty, którego żałuję, a kochaćbym rada.

OREST.

Widzę więc co mnie czeka. Nazbyt cię rozumiem;
Pirrus miłość, ja tylko litość wzbudzać umiem.

HERMIONA.

Niech cię od jego losu wielkie chronią bogi!
Byłbyś mi nienawistny.

OREST.

I tem bardziéj drogi.
Ileż-to wówczas zalet widziałabyś we mnie!
Dziś, pani, chcąc mnie kochać, zmuszasz się daremnie.
Wówczas, miłośćby niczem przemódz się nie dała,
Chciałabyś nienawidzieć, a kochać musiała.
O nieba! gdybyś tylko mniéj była zaciętą,
Jakbyś moją miłością powinna być tkniętą.
Przy jego niewinności serce twe obstaje,
Któréj samo nie wierzy, i on nie przyznaje.
Nienawidzi cię. Innym zajęty przedmiotem....

HERMIONA.

Co? Pirrus mną pogardza? zkądże to wiesz o tem?
Czyż ci tego spojrzeniem lub mową dowodzi?
Czyż mniemasz, że mój widok samą wzgardę rodzi?
Żem niezdolną jest trwałych rozniecić płomieni?
Może kto inny, panie, lepiéj mnie oceni.

OREST.

Tak, urągaj się ze mnie. Szydź z Oresta męki.
A więc ja to, okrutna, twemi gardzę wdzięki?
Niedość więc trwałą miłość w mem sercu wznieciły?
Niedość mojém cierpieniem dowiodłem ich siły?
Orest więc cię poniża! gardzi wdzięki twemi?
Jakbyś chciała, by Pirrus tak pogardzał niemi!

HERMIONA.

Co mnie jego nienawiść lub miłość obchodzi?
Niech się cała Grecya na śmierć jego zgodzi,
Sprowadź ją, niechaj na nim wywrze zemstę swoję,
I niech tak zburzy Epir, jak zburzyła Troję.
Miłościż ja to takim dowodzę rozkazem?

OREST.

Ach, pani! uczyń więcéj, i ze mną wróć razem.
Chceszże by cię w zakładzie trzymał przeniewierca?

Pójdź! sama wdziękiem twoim wszystkie podbić serca.
Połączmy zemstę naszą, a pewniéj go zgubi.

HERMIONA.

A jeżeli tymczasem Trojankę zaślubi?

OREST (z ironią)

Jeżeli!

HERMIONA.

Pomnij, jaka czeka nas ohyda,
Jeźli brankę przeniesie nad córę Atryda.

OREST.

I toż to jest nienawiść! Nie wmówisz jéj we mnie;
Przyznaj raczéj, że miłość kryje się daremnie.
Zdradza się wzrokiem, mową, a nawet milczeniem,
I żar źle przygaszony wybucha płomieniem.

HERMIONA.

Widzę, panie, że zawiść co twém sercem włada,
Własnym jademby moje słowa zatruć rada.
Wszystko sprzecznie tłómaczy w mojéj odpowiedzi,
I w nienawiści nawet jeszcze miłość sledzi.
Wszystko więc ci wyjawię, czyń co zechcesz potem:
Jestem tu z woli ojca, zbyt dobrze wiesz o tém,
Nikt mnie więc do powrotu nakłonić niezdoła,
Chyba Pirrus mnie zmusi, lub ojciec odwoła.
Oznajm mu tę niezmienność jego przedsięwzięcia,
Że nigdy wroga Greków nie przyjmie za zięcia.
Niechaj powie, na kogo wybór jego pada:
Czyli syna Hektora, czy też mnie przekłada.
Niech los nasz ostatecznym rozstrzygnie nakazem.
Jeźli jego wybierze, dziś płyniemy razem.

SCENA III.

OREST sam.

Tak jest, pani, powrócisz, powrócisz z Orestem,
Zezwolenia Pirrusa nazbyt pewny jestem.
Na wszystko on tu z wstrętem i wzgardą spogląda,
Trojanki tylko saméj, i Trojanki żąda.
Dziśby jeszcze pierwszego chwycił się pozoru,
By cię tylko od swego mógł oddalić dworu.

Stało się. Już jéj odtąd nie wstrzyma w powrocie.
Co za rozkosz łup taki, wydrzeć ci, Butrocie!
Ocal wszystkie po Troi szczątki zostające,
Syna, wdowę Hektora i innych tysiące, —
Epirze! dość gdy ze mną Hermiona wróci,
A ciebie z twoim królem na zawsze porzuci.
Lecz oto los szczęśliwy wiedzie go w te strony,
Miłości! zasłoń przed nim wdzięki Hermiony!

SCENA VI.

Pirrus. Orest. Fenix.

PIRRUS.

Przed chwilą, panie, skutkiem gniewnego zapędu,
Na powody Grecyi niedość miałem względu.
Przekonała mnie późniéj zimniejsza rozwaga,
Że czego po mnie żąda, słusznie się domaga.
Przyznaję, że tym czynem Grecyębym zdradzał,
Zawodził mego ojca, z sobą się niezgadzał,
Wzniosłbym Troję i płocho niszczył owoc cały
Tak chwały Achillesa, jak i mojéj chwały.
Zbyt słuszną zemstę w Grekach syn Hektora wzniecił,
I jużem ci niezwłocznie wydać go polecił.

OREST.

Krwią więc nieszczęśliwego ten pokój przywracasz.
Słusznym, panie, lecz srogim czynem go opłacasz.

PIRRUS.

Przyznaję, lecz ten pokój już wiecznym się stanie.
Hermiona go wzmocni. Zaślubiam ją, panie.
Zdaje się, żem dla ciebie tę chwilę odwlekał,
I potomka Atrydów obecności czekał.
Podwójny w oczach moich zaszczyt cię okrywa,
Wzywa cię twoja godność, pokrewieństwo wzywa.
Jutro więc ją w świątyni zaprowadzisz progi.
Idź ją o tem uprzedzić.

OREST.

Cóżem słyszał, Bogi!

SCENA V.

Pirrus. Fenix.

PIRRUS.

Cóż więc? czyliż miłości ulegam nikczemnie,
Czyż dawnego Pirrusa nie poznajesz we mnie?

FENIX.

Tak, poznaję cię panie w tym chlubnym zapale,
Który cię zwraca Grekom, twojéj zwraca chwale.
Już tem poniżającem uczuciem nie pałasz.
Jak Pirrus, syn Achilla, jak sam Achill działasz.
Powracasz dawnéj sławie wszystkie czucia twoje,
I drugim cudem męztwa drugą burzysz Troję.

PIRRUS.

Mów raczéj, że dziś pierwszą okrywam się chwałą,
Dziś dopiero zwycięztwa czuję rozkosz całą.
Ilem wprzód był podległy, tylem dziś jest mężem,
Rzekłbym, żem tysiąc hufców moim starł orężem.
Fenixie, jakiż pokój to serce osiągnie,
Jakiż się za miłością łańcuch nieszczęść ciągnie!
Już em przyjaźń, powinność, chciał łamać szalenie,
I to wszystko, Fenixie, za jedno spojrzenie;
Tyle klęsk miało na mnie, na mój naród spłynąć,
Czułem nawet w tem rozkosz, żeby dla niéj zginąć.

FENIX.

O jakże ta jéj srogość szczęśliwie cię zmienia . . .

PIRRUS.

Wszakże sam byłeś świadkiem mego poniżenia.
Sądziłem, wnosząc po jéj rozpaczy i trwodze,
Że przynajmniéj widokiem syna ją złagodzę.
Przyszedłem o téj drogiéj przekonać się zmianie,
Cóżem zastał, Fenixie? łzy i wyrzekanie.
Rozjątrzona swym stanem, w swym gniewie zaciekła,
Ileżto razy imie Hektora wyrzekła.
Próżnom syna jéj przyrzekł zasłonić w potrzebie,
„Hektor to jest,“ — mówiła, tuląc go do siebie, —
„Ten wzrok, usta, a nawet i nieznanie trwogi.
„Ach! ciebie ja to ściskam, ciebie mężu drogi!“
Mniemaż ona, żem na to syna jéj zostawiał,
By tę miłość nieszczęsną w sercu matki wznawiał?

FENIX.

Tak ci to ona, panie, odwdzięczać zamierza.

PIRRUS.

Wiem ja co ją ośmiela: swym wdziękom zawierza,
W nich ufa, niemi dumna, z gniewu mego szydzi,
Już mnie nawet w swéj myśli u nóg swoich widzi.
U moich leżeć będzie, ale nadaremnie,
Pozna wdowa Hektora krew Achilla we mnie,
Śmierć jéj męża i Troja rozdziela nas wiecznie.

FENIX.

Jeżeli więc ją, panie, rzucasz ostatecznie,
Téj chwili w Hermiony udaj się podwoje,
I miłością jéj ukój gniew i boleść twoję.
Idź sam ją panie, skłaniać, do ołtarza wzywać,
Jakże mogłeś do tego Oresta używać?

PIRRUS.

Fenixie, czyż się próżną nadzieją nie łudzę,
Że przez te szluby zazdrość w Andromace wzbudzę?

FENIX.

Nigdyż, przebóg, twem sercem władać nie przestanie?
Cóż jéj radość lub smutek obchodzi cię, panie?
Jakiż cię do niéj ciągnie urok niepojęty?

PIRRUS.

Nie dość ona wie jeszcze, jak jestem zawzięty,
Co ma słyszeć, słyszała dopiero w połowie,
Niech się o całéj mojéj nienawiści dowie.
Pójdźmy się na zniżenie jéj wdzięków wysilać,
Pójdźmy serca naszego całą wściekłość wylać,
Ukorzyć ją w jéj oczach, dumę jéj ukrócić.
Pójdźmy. . . .

FENIX.

Tak jest. Idź, panie, do jéj nóg się rzucić,
Idź ją znowu ubóstwiać, i sam jéj odwagi
Dodać jeszcze do nowéj wzgardy i zniewagi.

PIRRUS.

Więc mniemasz, że tak łatwo do zgody się nagnę,
I tylko ukojenia gniewu mego pragnę?

FENIX.

Dość, że kochasz.

PIRRUS.

Ja kocham? ja tę brankę hardą,
Co się szczyci mym hołdem, a płaci go wzgardą?
Co oprócz mnie nikogo już nie ma na świecie....
Któréj mogę, winienem nawet zgładzić dziecie....
Obcą, co mówię, brankę — synem wynagradzam,
Przybieram ją za żonę, na tronie osadzam,
A przecież mi, okrutna, w swem sercu zawziętem
Jak swemu prześladowcy samym płaci wstrętem.
Nie, nie, przysiągłem zemstę, i nic mnie nie wzruszy,
Raz przecież wzniećmy słuszną nienawiść w jéj duszy.
Zrzekam się jéj obrony, niechaj syn jéj ginie!
Lecz jakąż wzniecę boleść! ileż łez popłynie!
Jakże srogi gotuję pocisk dla jéj serca!
Umrze, umrze! Fenixie, i jam jéj morderca!
Ja sam to miecz utapiam w piersiach Andromaki!

FENIX.

I któż cię, panie, zmuszał powziąść zamiar taki?
Było raczéj słabości swojéj zadość czynić.

PIRRUS.

Niechciéj mnie o tę resztę przywiązania winić.
Tak słaba walka mego zamiaru nie zmieni,
Ostatni-ś to błysk widział gasnących płomieni, —
Pójdźmy. Wszystko uczynię twą radą wiedziony,
Mamże wydać jéj syna, pójść do Hermiony?

FENIX.

Tak jest, idź do niéj, panie, z winy się oczyścić.

PIRRUS.

Pójdźmyż więc wszystkie nasze przyrzeczenia ziścić.

AKT TRZECI.

SCENA I.

Orest. Pilad.

PILAD.

Uśmierz, uśmierz Oreście, tę zaciekłość srogą.
Zaledwie że Cię oczy moje poznać mogą.
Dozwól....

OREST.

Dosyć już twojéj ulegałem radzie,
Już mi ten głos rozsądku sprzykrzył się, Piladzie.
Nazbyt już dusza moja tą męką znużona!
Mój zamiar ostateczny: śmierć lub Hermiona!
Przysięgam ci, Piladzie, przysięgam na nieba,
Dziś ją porwę lub zginę.

PILAD.

Więc ją porwać trzeba.
Ależ pomnij co czynisz, i gdzie jesteś zważaj,
Płocho się na szyderstwa, zgubę nie narażaj,
Ukryj, poskrom przynajmniéj twoje uniesienie,
Ułagodź to okrutne twych oczu spojrzenie.
Pirrus tu z całym dworem, strażą otoczony,
Nie tak łatwo go przemódz, zwłaszcza Hermiony.
Staraj się przed nią twoje ukryć obłąkanie;
Jak mogłeś, przebóg, stawać przed nią w takim stanie!

OREST.

Wiemże com czynił! Wściekłym uniesion zapałem,

Może i ją i jego razem zgładzić chciałem.
Do takiego to stopnia zawiść moja wzrosła.

PILAD.

I jakążby ci korzyść ta zemsta przyniosła?

OREST.

I jakiéjżeby duszy ten cios nie obarczył?
Jakiżby umysł, takiéj męczarni wystarczył?
Jutro chce ją poślubić, i na zaszczyt srogi
Mnie ją każe prowadzić, mnie, o wielkie Bogi!
Ach pierwéj we krwi jego ubroczę tę rękę.

PILAD.

Jak niesłusznie o twoję oskarżasz go mękę!
Możebyś odsłaniając serca jego skrytość,
Przyznał że i on także zasłużył na litość.

OREST.

Nie, nie! znam go, czyni to, aby mnie zawstydził.
Gdybym ja jéj nie kochał, byłby ją obrzydził.
Czemuż aż dotąd na nią ozięble spozierał,
Na to ją tylko bierze, by mnie ją wydzierał.
O nieba, już tak bliskiém było szczęście moje,
Jużeśmy mieli razem powracać oboje,
Już zaczęła poznawać, jaki błąd ją łudził,
Jużem się jéj powierzał, już w niéj litość budził,
Tak się pewną zdawała Pirrusa odmowa,
I wszystko od jednego zależało słowa.

PILAD.

Tak mniemasz.

OREST.

Pewny jestem. Ten gniew, którym pała,
Dowodzi...

PILAD.

Że go nigdy bardziéj nie kochała.
Gdyby sam Pirrus nie chciał wstrzymać jéj w powrocie,
Tysiąc znajdzie pozorów, by zostać w Butrocie.
Wierz mi, czas od jéj wdzięków błędny wzrok odwrócić,
Nie porywać ją radzę, lecz wiecznie porzucić.
Chceszże jędzę poślubić, co w wściekłym obłędzie

Całe Cię życie twoje prześladować będzie.
Wyrzucać, że jéj szczęściu byłeś na zawadzie....

OREST.

Dla tego to ją właśnie chcę porwać, Piladzie.
Onaż ma być szczęśliwą, ja wiecznie narzekać,
Ja z tą płonną wściekłością bez zemsty uciekać,
I na jéj zapomnienie silić się daremnie?
Niech i ona się dręczy, niech cierpi wzajemnie,
Dość sam jeden cierpiałem. Litość mnie obraża,
Niech też i moja teraz srogość ją przeraża.
Niech mi rozpacz rozpaczą, łzami łzy odpłaca,
I wzajem wszystkie moje przekleństwa mi zwraca.

PILAD.

Ale czyż się to z posła dostojeństwem zgodzi?
Orest ma być wydziercą?

OREST.

Cóż mnie to obchodzi!
Cóż mi z tego, że zemstę Greków zaspokoję?
Zmniejszęż przez to jéj szczęście, lub cierpienia moje?
Na cóż mi wszystkie Sparty zdadzą się pochwały,
Jeżeli ze mnie szydzić będzie Epir cały.
Chcesz wiedzieć, gdzie mnie moje przywiodły cierpienia?
Oto mi ta niewinność w ciężar się zamienia.
Niewiem, lecz jakaś zawsze okrutna potęga
Zbrodnie puszcza bezkarnie, a niewinnych sięga.
Czyli spojrzę na siebie, czy na ród człowieczy,
Słyszę tylko jęk nieszczęść, co Bogom złorzeczy.
Korzystajmy z Ich gniewu, zasłużmy nań godnie,
Chcą mnie karać Bogowie, niechże karzą zbrodnię.
Ale ty czemuż zawsze, tak wierny mym losom,
Przeciw mnie wymierzonym wystawiasz się ciosom?
Zbyt ciężkie na Cię jarzmo przyjaźń moja kładzie;
Przed nieszczęsnym, występnym, uciekaj, Piladzie,
Gubi Cię twoja litość, niech sam walkę wiodę,
Tam gdzie ja sam jedynie mam zyskać nagrodę.
Oddaj Grekom to dziecię na śmierć przeznaczone,
Idź, idź, uciekaj!

PILAD.

Pójdźmy porwać Hermionę!
Wielkie serce przez wszystkie ciosy się przedziera.
Czegoż miłość niezdoła, gdy ją przyjaźń wspiera!

Przywołuje nas Greków zemsta niecierpliwa,
Czekają nas okręty, wiatr pomyślny wzywa.
Znam wszystkie tego gmachu potajemne drogi;
Morze o te, jak widzisz, obija sią progi.
Téj nocy jeszcze nasze spełnim przedsięwzięcie.
Tak, dzisiaj twoją zdobycz, ujrzysz na okręcie.

OREST.

Nazbyt wiele wymagam, lecz ty mnie przebaczysz,
Ty co sam nad mym losem, litować się raczysz.
Wszystkom stracił com kochał, świat mnie znienawidził,
Jużem wszystkim, a nawet sobie się obrzydził.
O! czemże Ci odwdzięczę po tak wielkim czynie?

PILAD.

Przybierz postać spokojną, tego chcę jedynie,
Staraj się ją na chwilę z pamięci wygładzić,
Strzeż się zwłaszcza naszego przedsięwzięcia zdradzić.
Hermiona przybywa! miejże na uwadze.

OREST.

Zaręcz mi tylko za nią, a ja Cię niezdradzę.

SCENA II.

Orest. Hermiona. Kleona.

OREST.

Wzięło więc, pani, skutek moje naleganie,
Pirrus ma Cię zaślubić.

HERMIONA.

Słyszałam to, panie.
Mówią nawet że twego przyjścia tu przedmiotem
Ma być ta chęć jedyna, uprzedzić mnie o tem.

OREST.

I tyś go, pani, może poślubić gotowa.

HERMIONA.

Któżby mniemał że Pirrus wiary mi dochowa,
Że tę miłość tak długo w sobie ukryć zdoła,
I czekać aż mnie ojciec do siebie odwoła.

Wierzę Ci, iż się lęka Greków zagniewania,
Że go bardziéj ta bojaźń, niźli miłość skłania,
I żeś ty, panie, z większym kochał mnie zapałem.

OREST.

Nie, nie, kocha Cię pani, już wątpić przestałem.
Kogożby wdzięki twoje nie zdołały złudzić,
A zapewne nie chciałaś wstrętu w nim obudzić.

HERMIONA.

Cóż mam czynić? Sam ojciec losem córki władał,
Mogęż mu przeczyć prawa, które on mu nadał?
Nie miłość to na tronach stanowi małżeństwa,
Zostawiono nam tylko chwałę posłuszeństwa,
Jednakże chciałam, panie, wraz z Tobą uciekać,
I dla Ciebie się mojéj powinności zrzekać.

OREST.

Ach wiedziałaś okrutna.... lecz pocóż Cię winić?
Jak każdemu, tak tobie wolno wybór czynić.
Żadnéj mi twoja wzgarda krzywdy niezadawa,
Miałem wprawdzie nadzieję, lecz nie miałem prawa;
Dla tego téż mniéj Ciebie, niż los mój oskarżam.
Lecz pocóż te natrętne skargi Ci powtarzam?
Dopełniasz obowiązku, mój nie mniéj surowy
Każe Ci téj tak przykréj oszczędzić rozmowy.

SCENA III.

Hermiona. Kleona.

HERMIONA.

Z jakąż on mocą duszy boleść swą pokrywa.

KLEONA.

Często boleść milcząca najstraszniejszą bywa.
Żałuję go, tem bardziéj, że sobie jedynie
Winien ten cios okropny, pod którym dziś ginie.
On to zwłokę twych ślubów swém przybyciem skrócił,
Ledwie przybył, przemówił, Pirrusa Ci zwrócił.

HERMIONA.

Co, Pirrus-by się lękał, któżby go zastraszał?

Czy ten lud co go Hektor dziesięć lat rozpraszał,
Co trwożny bez Achilla, i stokroć pędzony,
Aż w nawach gorejących biegł szukać zachrony,
I gdyby nie ten Pirrus, co wszystkiemu zdołał,
Dotądby o Helenę nadaremnie wołał?
Za nadto jesteś w twojém posądzaniu płocha.
Co czyni, to chce czynić, zwraca się, bo kocha.
Niech więc Orest skargami ściga mnie swojemi,
Nie mogę w méj radości zajmować się niemi.
Droga Kleono, Pirrus! Pirrus, mi zwrócony!
Pojmujesz-że ty całe szczęście Hermiony,
Wiesz-że ty kto jest Pirrus? Ileż to zdobyczy,
Ile bojów i zwycięztw.... ale któż je zliczy?
Mężny, zawsze zwycięzki, tkliwy, wierny, stały;
Nie, — już mu nie jest obcym żaden rodzaj chwały!

KLEONA.

Ach, pani, w tym radosnym wstrzymaj się zapale.
Oto Trojanka swoje przynosi Ci żale.

HERMIONA.

Nieba, tyleż radości mam w sobie zamykać!
Cóż jéj powiem, uchodźmy.

SCENA IV.

Andromaka. Hermiona. Kleona. Cefiza.

ANDROMAKA.

Mnieżto chcesz unikać?
Cóż może Ci być milszém, jak we łzach, pokorze,
Oglądać u nóg Twoich wdowę po Hektorze.
Nie przychodzę ja, pani, wyrzutów Ci czynić,
Łzą zazdrości o stratę kochanka Cię winić.
Hektor mój pod nieszczęsną dawno zginął Troją,
On to sam mógł miłością zajmować mnie swoją;
On jeden umiał we mnie wzbudzić ją ku sobie,
I z nim też razem w jednym zamknęła się grobie.
Ale syn mi pozostał. Pociecha jedyna!
Ach doznasz może kiedyś co to kochać syna,
Lecz niedoznasz, przynajmniéj nie życzę Ci, pani,
Co to za cios okropny serce matki rani,
Kiedy ze wszystkich skarbów, z wszystkich darów nieba,

Ten jeden pozostanie, a tracić go trzeba.
Niestety! gdy za płonne tylu krwi przelanie,
Matce twéj rozjątrzeni grozili Trojanie,
Hektor na moją prośbę życie jéj obronił,
Równieby się i Pirrus do twéj prośby skłonił.
Cóż widzą tak groźnego w téj nędznéj dziecinie?
Niechaj mnie z nią w głębokie odeślą pustynie,
Niech się spuszczą na matki i miłość i trwogę;
Nieszczęsna! płaczu tylko nauczyć go mogę.

HERMIONA.

Wiem, pani, jaka boleść twoją dręczy duszę,
Ale gdzie ojciec każe, tam ja milczeć muszę.
On to jątrzy Pirrusa, ja go nie ukoję,
Najlepiéj to zdołają własne wdzięki twoje.
Nie mógł się przez tak długi czas oprzeć ich sile,
Skłoń go tylko, a w tenczas i ja się przychylę.

SCENA V.

Andromaka. Cefiza.

ANDROMAKA.

Nie dosyćże odmowy, trzebaż wzgardę znosić?

CEFIZA.

Idź, pani, za jéj radą, idź Pirrusa prosić.
Jedno twoje spojrzenie Grecyę pokona.
Lecz oto sam nadchodzi.

SCENA VI.

Pirrus. Andromaka. Fenix. Cefiza.

PIRRUS *do Fenixa.*

Gdzież jest Hermiona?
Mówiłeś, że się miała udać w te podwoje.

FENIX.

Takem rozumiał.

ANDROMAKA *do Cefizy.*

Widzisz czem są wdzięki moje.

PIRRUS *do Fenixa.*

Co mówiła?

ANDROMAKA.

Już mnie więc wszystko się wyrzeka!

FENIX *do Pirrusa.*

Pójdź, panie, gdzie Cię miłość Hermiony czeka.

CEFIZA *do Andromaki.*

Przemów pani, a może jeszcze doznasz zmiany.

ANDROMAKA.

Już syn mój przyrzeczony.

CEFIZA.

Jeszcze nie wydany.

ANDROMAKA.

Próżnobym go broniła, płakała daremnie.

PIRRUS.

Z jaką dumą i wzgardą, zwraca się odemnie.

ANDROMAKA *do Cefizy.*

Pójdźmy, bo cóż mu powiem, jątrzę go jedynie....

PIRRUS *do Fenixa.*

Pójdźmy, niech z ręki Greków syn Hektora ginie.

ANDROMAKA *(rzucając się do nóg Pirrusowi).*

Ach, panie, z tak okropnym wstrzymaj się rozkazem!
Lub gdy wydajesz syna, wydaj matkę razem. .
Niedawno-ś taką przyjaźń ręczył Andromace. . .
Czyż teraz do litości nawet prawo stracę?
Już mnie więc bez nadziei, karzesz tak surowo.

PIRRUS.

Oto Fenix jest świadkiem, że już dałem słowo.

ANDROMAKA.

Ty panie, co mnie z takim broniłeś zapałem!

PIRRUS.

Miłość mnie zaślepiała, ale już przejrzałem.
Mogłaś zaufać mojéj opiece, obronie;
Ale nie chciałaś nawet i prosić mnie o nie.

ANDROMAKA.

Ach panie, niknął w piersiach głos serca nieśmiały...
Te westchnienia, co twojéj pogardy się bały.
Przebacz pamiętającéj dawną świetność swoję,
Tę resztę dumy, z którą natrącać się boję.
Nakoniec serce moje nadto Ci jest znanem;
Prócz Ciebie-bym przed żadnym nieprzyklękła panem.

PIRRUS.

Nie, nie, nienawidzisz mnie. Cała twa obawa,
Bym do twojéj wdzięczności nie uzyskał prawa.
Ten syn nawet, ten przedmiot tylu łez i trwogi,
Gdybym ja go ocalił, mniéjby Ci był drogi.
Odpychasz mnie ze wstrętem, pogardzasz mną, szydzisz,
I bardziej, niźli wszystkich Greków, nienawidzisz,
Ujrzym w krótce, co zyskasz na twoim oporze...
Pójdźmy Fenixie.

ANDROMAKA..

A ja do Ciebie, Hektorze!

CEFIZA.

Ach pani!

ANDROMAKA *do Cefizy*.

I cóż jeszcze mogę mu powiedzieć?
Sprawca wszystkich mych nieszczęść, jak ich nie ma wiedzieć

(*do Pirrusa*)

Spojrzyj, panie, na stan mój, jestto dzieło twoje.
Patrzałam na śmierć ojca, gorejącą Troję,
Na śmierć całéj rodziny, śmierć okropną męża.
Jam tylko z synem uszła morderców oręża.
Kazali mi w kajdanach to życie przedłużyć,
Czegoż matka nie czyni? chciałam żyć i służyć:
Więcéj nawet czyniłam, ciesząc się w mym stanie,
Żem tutaj, nie gdzieindziéj, poszła na wygnanie;
I ten syn tylu królów, gdy ma żyć w niewoli,
Tak przyjmie twoje więzy jak szczęście w niedoli.
Mogła mi go ocalić ta niewola sama:

Szanował niegdyś Achill nieszczęście Pryama;
Z większą pewnością twojéj ufałam obronie.
Przebacz, drogi Hektorze, łatwowiernéj żonie,
Mogłaż przeciwnikowi twemu tak ubliżać,
Przeczyć mu wspaniałości, do zbrodni go zniżać?
Ach gdyby mi dozwolił choć legnąć w tym grobie,
Który, drogi Hektorze, wystawiłam tobie,
Gdyby tam los mój mściwym zakończył żelazem,
I przynajmniéj popiołom dał spoczywać razem.

PIRRUS *do Fenixa.*

Oddal się.

SCENA VII.

Pirrus. Andromaka. Cefiza.

PIRRUS.

Zostań Pani. Ten syn tak ci luby
Jeszcze może potrafi uniknąć swéj zguby,
Nie sądziłem że gniew mój tak prędko ukoję:
Lecz pani zwróć, przynajmniéj, ku mnie oko twoje;
Zmuszasz mnie do twéj zguby, pamiętaj na syna,
Onto sam Cię przezemnie prosi i zaklina.
Jaż się to ocalenia jego mam domagać?
Czyż o ratunek syna trzeba matkę błagać?
W wspólnéj wszystkim nam razem wzywam Cię potrzebie:
Po raz ostatni, ocal i jego i siebie.
Wiem jak silną dla Ciebie rozrywam przysięgę,
I jaką przeciw sobie obudzam potęgę.
Odsyłam Hermionę, powraca do Sparty,
Nie koronę unosi, ale wstyd niestarty,
Ciebie wiodę przed ołtarz, który na nią czekał,
Tobie daję to berło, którem jéj przyrzekał;
Lecz pani już ten wybór nie może Cię minąć,
Lub ty musisz panować, albo syn twój zginąć.
Czas wyjść z téj niepewności, raz z niéj wydrzeć muszę
Tę wzgardą całoroczną obciążoną duszę.
Czas skrócić ten gniew, groźby, te jęki i trwogę,
Jak twéj straty, tak zwłoki, już przeżyć nie mogę.
Zostawiam Cię na chwilę, miéj więc to na względzie,
Że idziesz przed ten ołtarz, gdzie i syn twój będzie.
Tam los jego zawiśnie od Ciebie jedynie;
Albo siędziesz na tronie, lub w Twych oczach zginie.

SCENA VIII.

Andromaka. Cefiza.

CEFIZA.

A więc widzisz żeś jeszcze panią twego losu,
Żem niepłonnie przeczucia usłuchała głosu.

ANDROMAKA.

Ach cóż mówisz! jażby się mam tą niewiarą zmazać?
Brakłoby mi już tylko: na śmierć syna skazać.

CEFIZA.

Wierność twoja dla męża już jest dostateczna;
Do zbrodni Cię przywiedzie ta cnota zbyteczna;
Samby cię w tym zaciętym powściągał oporze.

ANDROMAKA.

Co! Pirrus moim mężem, Pirrus po Hektorze!

CEFIZA.

On to sam syna tego narażać Ci broni,
Czyż mniemasz że cień jego wstydem się zapłoni?
Że go oburzać będzie ten król tak wspaniały,
Co Cię zwraca do dawnéj świetności i chwały,
Co depce twych zwycięzców dla Ciebie jedynie,
Co zapomina nawet, jaka krew w nim płynie,
Co wszystkie swoje dzieła zaciera i maże?

ANDROMAKA.

Czyż, że on ich zapomniał, mnie zapomnieć każe?
Jażbymto mego męża włoczonego ciała,
Ja téj wzgardy Hektora zapomniećbym miała?
Ja zapomnieć Pryama okropnego zgonu,
Jak ściskał i krwią zlewał Bogi Ilionu?
Ach zwróć się ku téj nocy, zwróć twojém wspomnieniem,
Która cały lud wiernym ogarnęła cieniem;
Wystaw sobie Pirrusa, jak wściekle spozierał,
Gdy wśród gmachów płonących do Troi się wdzierał,
Jak po trupach mych braci z walk do walk przebiegał,
I cały krwią zbroczony do rzezi podżegał:
Wspomnij krzyki zwycięzców, jęki konających,
Tych pod mieczem Achiwów, tych w ogniu ginących,
Mnie wreście wśród tych mordów i ojca i braci;

W takiéj to on przedemną stawił się postaci.
Takimto on się do mnie dobijał orężem,
I takiegoż to pragniesz moim widzieć mężem....
Nie, niechcę téj obrzydłéj chwały z nim podzielać.
Może on na ostatek i moją krew przelać,
Lecz wstrętu mego żadną nie przemoże władzą.

CEFIZA.

A więc pójdź, pani, patrzeć jak ci syna zgładzą.
Ciebie tylko czekają. Lecz cóż to? drżysz cała?

ANDROMAKA.

Ach okrutna Cefizo, cóżeś mi wspomniała?
Niestety! z mojéj-że to ma umierać winy
Ten obraz mego męża, ten mój skarb jedyny,
Ta ostatnia pociecha po drogim Hektorze?
Zdaje mi się, że jeszcze widzę go w téj porze,
Kiedy na bój z Achillem, raczéj na śmierć śpieszył,
Jak wziął syna na ręce i tak żal mój cieszył:
„Droga żono, rzekł do mnie, idę walkę staczać,
„Ależ któż wie co nieba mogą mi przeznaczać,
„Zostawiam ci to dziecię; jeźli legnę w grobie,
„Niech co we mnie utraci, to odzyska w tobie.
„Jeźli ci związków naszych wspomnienie jest miłém,
„Dowiedź mi na tym synie jak ci drogi byłem."
I jażto mam na rozlew krwi tak drogiéj patrzeć?
Z nim razem pamięć tylu przodków jego zatrzeć?
Srogi królu! za niechęć matki karzesz syna.
Jeźli cię nienawidzę, czyżto jego wina?
Wyrzucałże ci kiedy zabite Trojany,
Albo stan swój nieszczęsny, jeszcze mu nieznany?
Ale o synu, twego nie unikniesz losu,
Jeźli ja grożącego nie zatrzymam ciosu.
Mogę cię wydrzeć śmierci, a umrzeć ci każę.
Nie, nieumrzesz, tą zbrodnią nigdy się nie zmażę,
Pójdźmy do króla. Lecz nie... Zmuszam się daremnie,
Ty idź za mnie...

CEFIZA.

Cóż powiem?

ANDROMAKA.

Powiedz mu odemnie,
Powiedz że tam gdzie matka ma syna postradać...
Ale czyż on istotnie gotów śmierć mu zadać?
Możeż być tak okrutném prawdziwe kochanie?

CEFIZA.

Pomnij z jaką wściekłością za chwilę tu stanie.

ANDROMAKA.

A więc idź go zapewnić.

CEFIZA.

Twoją przyrzec wiarę?

ANDROMAKA.

Mogęż bez jéj łamania czynić z niéj ofiarę?
O Trojo! Mężu! Ojcze! cóż czynić radzicie?
O synu! jakże drogo opłacam twe życie.
Pójdźmy, pójdźmy Cefizo.

CEFIZA.

Gdzie mnie chcesz prowadzić?

ANDROMAKA.

Pójdźmy do grobu męża, jego się poradzić.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Andromaka. Cefiza.

CEFIZA.

Tak jest pani, z Hektora czynisz to natchnienia,
On to tak nagłym cudem serce twoje zmienia.
Zbliża on już dla Troi chwilę jéj powstania,
Gdy cię do ocalenia syna swego skłania.
Słyszałaś jak ci Pirrus zwrócić go przyrzekał,
Już z ust twoich jednego tylko słowa czekał.
Ufaj mu, sama szczerość sercem jego włada,
Tron, Epir, siebie, ojca, u nóg twoich składa.
Tobie, Troi, synowi, dawną zwraca świetność.
Zkądże taka nienawiść za taką szlachetność!
Już on naprzeciw Grekom słusznym gniewem pała.
Miłość jego dla syna twojéj wyrównała.
Dla niego całéj swojéj straży się pozbawił,
I tak chcąc go ocalić sam siebie wystawił,
Ale już ślubów twoich zbliża się godzina,
Przyrzekłaś Pani. . . .

ANDROMAKA.

Pójdę, — lecz wprzódy do syna.

CEFIZA.

Czemuż teraz? czyż nie dość, że po tym obrzędzie
Nikt do niego przystępu bronić ci nie będzie.
Że cię żadne w twém szczęściu nie wstrzymają straże,
I że nikt twych uściśnień już liczyć nie każe.
Co za rozkosz dla matki wychowywać dziecię,
Nie dla tego by w więzach przepłakało życie,
Lecz by w nim tylu królów dla Troi odzyskać.....

ANDROMAKA.

Cefizo, raz ostatni pójdźmy go uściskać.

CEFIZA.

Raz ostatni? co słyszę!

ANDROMAKA.

Tak, Cefizo miła!
Nie przed tobą się będę z moją myślą kryła.
Poznałam cię w nieszczęściu niczém niezachwianą,
Lecz mniemałam żem wzajem lepiéj ci jest znaną.
Tyżeś to sądzić mogła, że zdradzę nikczemnie
Męża co się spodziewa znowu ożyć we mnie?
Mamże tylu umarłych ciężką boleść wskrzeszać?
Dla mojéj spokojności, ich spokojność mieszać?
Teżto na grobie męża poprzysięgłam śluby?
Lecz trzeba było syna ratować od zguby,
Pirrus go przez ten związek pod obronę bierze;
Dosyć mi na tém, znam go, i chętnie mu wierzę,
Popędliwy lecz szczery, jego się opieka
Daléj nawet rozciągnie, niźli sam przyrzeka.
Ufam nawet téj zemście co Grekami włada,
Że synowi Hektora pewno ojca nada.
Idę więc, gdy tak srogi los dla mnie stanowi,
Ostatek mego życia oddać Pirrusowi.
Tak, idę tę przysięgę przyjąć uroczyście,
Która go z synem moim połączy wieczyście,
Lecz natychmiast, Cefizo, dla hańby téj zmycia,
Wydrę sobie tę resztę niewiernego życia.
Tak wszystkim się wypłacę w godnym mnie sposobie,
Pirrusowi, mężowi, dziecięciu i sobie.
Oto podstęp niewinny przez miłość natchniony,
Tego Hektor od swojéj domaga się żony.
Pójdę z nim, z przodki memi złączyć się na wieki,
Ty mi, droga Cefizo, ty zamkniesz powieki.

CEFIZA.

Nie, niezdołam Cię przeżyć. . . .

ANDROMAKA.

Umierać ci bronię,
W czyjeżbym dziecię moje powierzyła dłonie?
W tobieto mu ostatnia została podpora,
Żyłaś dla mnie, żyj także dla syna Hektora.

Trojanie ci w nim swoje oddają nadzieje.
Ileżto przez twe życie królów ocaleje!
Pilnuj przysiąg Pirrusa, błagaj go, zaklinaj,
A nakoniec w potrzebie i mnie mu wspominaj.
Wystaw mu świętość ślubów które z nim zawarłam,
Przypominaj że jego już żoną umarłam.
Niech zatrze wszelkie swojéj urazy wspomnienie,
Zostawiając mu syna, nie mało go cenię.
Nauczaj tego syna jakie miał naddziady,
Ile zdołasz, Cefizo, prowadź go ich ślady,
Powiedz mu jaką sławą imie swe okryli,
Raczéj to co zdziałali, niżeli czém byli.
Lecz zwłaszcza ojca w każdéj wystawiaj mu dobie,
A czasem téż i matkę przypomnijcie sobie.
Niech się jednak za zgubną zemstą nie ubiega,
Zostawujem mu Pana, niechaj mu ulega,
Niech świetnym sławy przodków niechlubi się spadkiem,
Jest on ze krwi Hektora, lecz krwi téj ostatkiem.
Niech pomni, jak ta reszta krwi drogą mi była,
Kiedym dla niéj, wstręt, miłość, życie poświęciła.

CEFIZA.

Nieba!

ANDROMAKA.

Zostań Cefizo, zostań, jeżli mniemasz,
Że nad twoją żałością dosyć władzy nie masz.
Nadchodzą. Łzy twe ukryj. Zważ Cefizo tkliwa,
Że odtąd los mój cały w twem ręku spoczywa.
Hermiona! śpieszmy się przed jéj gniewem schronić.

SCENA II.

Hermiona. Kleona.

KLEONA.

Tak, nie mogę mojemu zdziwieniu się wzbronić,
Tyż to, pani, spokojnie znosisz pocisk taki,
Ty coś drzała na samo imie Andromaki,
Ty, co ilekroć Pirrus spojrzał na jéj wdzięki,
Wszystkie razem zazdrości w sobie czułaś męki?
A dziś gdy ją zaślubia, gdy wieńczy koroną,
Gdy jéj daje tę wiarę tobie przysiężoną,

Gdy cię krzywdzi, znieważa zbrodnią tak szkaradną,
Ni się żalisz, ni skargą nie odzywasz żadną,
Ach, pani, to milczenie po takiéj ohydzie
Przeraża moje serce. . .

HERMIONA.

Kiedyż Orest przyjdzie?

KLEONA.

Biegnie on, pani, biegnie, natychmiast tu stanie.
Łatwo pojmiesz jak twoje cieszy go wezwanie,
Wie on, że go twe serce nigdy nie nagrodzi,
Przecież niczém niezmienny. . . Ale oto wchodzi.

SCENA III.

Orest. Hermiona. Kleona.

OREST.

Ach, pani! mogęż wierzyć tak szczęśliwéj doli,
Żem raz przecie do Ciebie z twojéj przybył woli?
Niepłonnąż ja to, pani, nadzieją się łudzę,
Istotnież ja to w Tobie, dobroć, litość budzę,
Chcesz-że wreście złagodzić ten los mój tak srogi!

HERMIONA.

Chcę wiedzieć czy mnie kochasz?

OREST.

Czy kocham? o Bogi!

Tyleż mojéj miłości dowodów Ci danych,
Tyleż przysiąg dla Ciebie, czynionych, łamanych,
Ta stałość tyloletnią wzgardą niewzruszona,
Przekonać Cię nie mogły, a cóż Cię przekona?

HERMIONA.

Pomścij się mojéj krzywdy, a wszystkiemu wierzę.

OREST.

Niech więc cała Grecya do broni się bierze,
Pójdźmy godną nas chwałą zajaśnieć oboje,
Ja jéj ojca zastąpię, a ty matkę twoję.
Wszystkie nieszczęścia Troi wznówmy na téj ziemi,
I ojców naśladując, zrównajmy się z niemi.
Pójdźmy, pani, na wszystkom jest gotów. . . .

HERMIONA.

Nie, panie!
Nigdy wstydu mojego nie ujrzą Spartanie.
Mamże na domiar hańby jeszcze ztąd uciekać,
I gdzieindziéj na zemstę zbyt powolną czekać,
Mam pokładać nadzieję w tych bitew zapale,
Coby mnie może w końcu niepomściły wcale.
Ja żądam łez Epiru wprzód nim ztąd odpłynę,
Lecz jeźli mnie chcesz pomścić, pomścij za godzinę.
Najmniejsza twoja zwłoka odmowę stanowi.
Idź przed ołtarz, zadaj śmierć.

OREST.

Komu?

HERMIONA.

Pirrusowi.

OREST.

Pirrusowi!

HERMIONA.

Wahasz się? ach, biegnij, uderzaj,
Nie czekaj aż cię zwrócę, zbyt mi nie zawierzaj,
Chroń się dawnych przypomnień w sercu mojém wznawiać,
I nie tobie wypada Pirrusa wymawiać.

OREST.

Jabym go miał wymawiać? Zyskał serce twoje,
Dosyć mi na téj zbrodni. Mścijmy się oboje.
Mścijmy — ależ szlachetną racz mi wskazać drogę,
Mogę być przeciwnikiem, mordercą nie mogę.
Postępujmy w tym czynie prawnie i otwarcie,
Poniosęż głowę jego za odpowiedź Sparcie,
Natoż mi swoją sprawę zdał cały lud grecki,
Bym nic więcéj nie spełnił nad ten czyn zbójecki.
Czekaj, niech wyrok jego zemstę twoją ziści,
Niech padnie pod ciężarem ludów nienawiści.
Pomnij że tu panuje.... pomnij że królowie....

HERMIONA.

Nie dosyćże ci na tém, że ja tak stanowię?
Nie dosyćże ci na tém, że moja zniewaga,
Że krzywda Hermiony téj zemsty wymaga?

Że śmierć jego tę rękę uzyskać ci miała?
Że mi obrzydł, a wreście, żem go tak kochała!
Tak, nie taję, kochałam mego przeniewiercę.
Czyli mnie ojciec zmuszał, czy téż własne serce,
Nie pytaj, lecz sądź z tego, co czynić wypada.
Niczém jest moja hańba, niczém jego zdrada,
Niczém wstręt mój do zbrodni, mogę w mym obłędzie
To wszystko mu przebaczyć, dopóki żyć będzie.
Nikłym jest gniew miłości. Pomnij na przestrogę:
Że go, gdy dziś nie umrze, jutro kochać mogę.

OREST.

A więc trzeba go zgładzić, wprzód nim się przebłagasz.
Lecz, przebóg, sama rozważ czego się domagasz,
Zaledwie że-m tu przybył, już ma krew popłynąć?
Już upaść całe państwo, sam król nawet ginąć?
Tyle żądasz odemnie, i żądając tyle,
Jeden mi dzień, godzinę, jedną dajesz chwilę.
W obec całego ludu, każesz mi go zgładzić!
Pozwól mi go przed ołtarz wprzódy zaprowadzić,
Pozwól odwlec te zemstę, tak pozwól jedynie
Obrać czas, obrać miejsce, a téj nocy zginie,
Téj nocy jeszcze własnym zgładzę go orężem.

HERMIONA.

Lecz nim ta noc nadejdzie, będzie branki mężem.
Już ją czeka w świątyni i tron i korona,
Jużem hańbą okryta, już zbrodnia spełniona.
Czegoż czekasz, gdy możesz tak łatwo go zgubić,
Bez straży, bez obrony, idzie ją zaślubić.
Całém swém wojskiem syna Hektora okrywa,
Tak sam cię do pomszczenia mojéj krzywdy wzywa.
Chceszże bronić dni jego gdy sam niedba o nie?
Idź przyzwij wszystkie Greki i uzbrój ich dłonie.
Zapal twoich przyjaciół i połącz ich z memi,
Mnie zdradza, ciebie zwodzi, a gardzi wszystkiemi.
Co mówię! każdy ze mną równy zapał dzieli,
Wszyscy męża Trojanki zabijaćby chcieli.
Przemów do nich, a zginie pod tylu ciosami,
Lub raczéj nie broń tylko, a uderzą sami. —
Idź więc lub ich popierać, lub wieść do ołtarza,
I powróć do mnie cały zlany krwią zbrodniarza,
Za ten widok tak miły sercem ci odpłacę.

OREST.

Lecz pani. . . . .

HERMIONA.

Dosyć tego. Już cierpliwość tracę.
Kogoż tyle oporu, rozwag, nie obruszy?
Chciałam ci podać sposób ujęcia méj duszy,
Tak, chciałam twego szczęścia, lecz jak widzę, panie,
Narzekać tylko umiesz, nie zasłużyć na nie.
Idź gdzieindziéj wychwalać twą stałość obłudną,
A mnie zostaw tę pomstę dla ciebie tak trudną.
Wstyd mnie mojéj dobroci, mnie co męztwem pałam,
I nadto już tych pogard w jednym dniu doznałam.
Sama ja w téj świątyni udam się podwoje,
Gdzie ty nie śmiesz zasłużyć na wzajemność moję.
Potrafię ja do zdrajcy znaleść sobie drogę,
Przeszyć serce, którego poruszyć nie mogę.
Lecz natychmiast tę rękę zwrócę przeciw sobie,
I gdy nie chciał za życia, złączę się z nim w grobie,
Gdyż jakkolwiek przez niego pogardzoną jestem,
Słodsza mi śmierć z Pirrusem, niż życie z Orestem.

OREST.

Nie, pani, téj rozkoszy żądasz nadaremnie,
Zginie twój przeniewierca, lecz tylko przezemnie.
Dziś twoi przeciwnicy będą pokonani,
A potém jeźli zechcesz, nagrodzisz mnie pani.

HERMIONA.

Idź więc, a los twój na mnie zdając bez obawy,
Każ wszystkie do ucieczki przygotować nawy.

SCENA IV.

Hermiona. Kleona.

KLEONA.

Ach, pani, w tym rozkazie, zgubę twą przeglądam.

HERMIONA.

Zgubię się czy nie zgubię, saméj zemsty żądam,
Nie wiem nawet, czy zamiast słowu jego wierzyć,
Nie lepiéj będzie saméj tę zemstę wymierzyć!

Mniéj daleko Oresta oburza ta zdrada,
A dłoń moja pewniejszy cios mi zapowiada.
Ach! co za rozkosz, saméj zgładzić przeniewiercę,
Wydrzeć mu własną ręką to obłudne serce,
I by czuć całą rozkosz mszczącéj się kochanki,
Gasnącym oczom wzbraniać ujrzenia Trojanki!
Gdyby przynajmniéj Orest zemsty méj nie zdradził,
Obudził w nim tę żałość, że go dla mnie zgładził.
Spiesz, biegnij, niech mu powie, że dla mnie jedynie,
Dla saméj Hermiony, nie dla kraju ginie.
Biegnij, zemstaby moja nadaremną była,
Gdyby skonał niewiedząc, żem ja go zabiła.

KLEONA.

Biegnę pani, lecz cóż to czy mnie oko zwodzi,
O nieba! któżby mniemał? sam Pirrus nadchodzi.

HERMIONA.

Spiesz, biegnij za Orestem, niech jeszcze odwleka,
I na rozkaz powtórny z moją zemstą czeka.

SCENA V.

Pirrus. Hermiona. Fenix.

PIRRUS.

Niespodziałaś się, pani, ujrzyć mnie w téj dobie,
W ważnéj pono rozmowie przeszkodziłem tobie.
Niechcę ja tu podstępną łudzić cię obroną,
Winy mojéj okrywać słuszności zasłoną,
Próżnobym serca mego wyrzuty przytłumiał,
I tego, w co nie wierzę, poprzećbym nie umiał.
Zaślubiam Andromakę. Tak pani, wyznaję,
Żem ci przysiągł tę wiarę, którą jéj oddaję.
Kto inny rzekłby może dla swojéj obrony,
Że ten związek przez ojców naszych narzucony,
Bez porady serc naszych zawarty pod Troją,
Nie był stwierdzon miłością ni twoją ni moją.
Ale dość żem dał słowo, dość że moje posły,
W ofierze serce swego króla ci przyniosły.
Nie przeczyć, lecz dotrzymać chciałem obietnicy,
Razem z niemi przybyłaś do mojéj stolicy,
A chociaż inne wdzięki tak urocze były,
Że cię w podbiciu mego serca uprzedziły,

Przecież walcząc z tak silnym duszy méj zapałem,
Wiary mojéj koniecznie dotrzymać ci chciałem.
Przyjąłem cię z świetnością; sądziłem w mym błędzie,
Że przysięga silniejszą od miłości będzie.
Lecz któż miłość zwycięży? przemogła Trojanka,
Wydziera mi to serce gardząca mną branka,
Oboje się nawzajem ciągnąc w przepaść zguby,
W téj chwili biegniem pani wieczne zawrzeć śluby.
Teraz możesz gniew cały przeciw zdrajcy zwrócić,
Co cię z żalem porzuca, przecież chce porzucić.
Wywrzéj wszystko co tylko w twych piersiach się mieści,
Umniejszysz mi zgryzoty a sobie boleści.
Wszystkiemi przeklęstwami odpłać zdradę moję,
Nie twych obelg lecz twego milczenia się boję.
Im silniéj się powściągniesz w twym słusznym zapędzie,
Tem silniéj własne serce oskarżać mnie będzie.

HERMIONA.

Raz przecie widzę, panie, że się fałszem brzydzisz,
Że przynajmniéj sam czarność czynu twego widzisz,
I ten związek tak święty targając niegodnie,
Jak zbrodniarz dokonany puszczasz się na zbrodnie!
Nie, nie możesz do takiéj zniżać się ofiary,
Téj gminnéj powinności dotrzymania wiary,
Zdrada zbyt jest powabną, słusznieś ją polubił,
Na toś tu do mnie przybył, abyś z niéj się chlubił.
Tak jest, rozrywać węzły przysięgą stwierdzone,
Kochając Andromakę, łudzić Hermionę,
Opuszczać mnie haniebnie, znów powracać do mnie,
Znów dla wdowy Hektora rzucać wiarołomnie,
To brankę, to królewnę na tronie osadzać,
Troję Grekom poświęcać, znów Grecyę zdradzać,
Zbyt to wszystko przystoi téj wyniosłéj dumie,
Co przysięgom swym nawet ulegać nie umie.
Może chcąc milszym do niéj powrócić odemnie,
Na słodkie imie zdrajcy czekasz potajemnie.
Przychodzisz ciężkie z piersi wyciskać mi jęki,
Byś potém na jéj łonie z mojéj szydził męki.
Chcesz by mnie za nią we łzach widział Epir cały!
Na dzień jeden zanadto byłoby téj chwały.
Lecz zkąd te pożyczane łudzą cię wawrzyny,
Czyliż ci nie wystarczą twoje własne czyny,
Małożto jest z Pryamem tak się dzielnie ścierać,
W oczach całéj rodziny życie mu wydzierać,

W piersiach drżącego starca mściwe topić dłonie,
Reszty krwi wiekiem ściętéj w jego szukać łonie,
Zanurzyć w krwi potokach gorejącą Troję,
Wywrzeć na Polixenę całą wściekłość swoję,
Oburzyć tą szkaradną zbrodnią wojsko całe,
Kogożby nie podbiły czyny tak wspaniałe!

PIRRUS

Wiem Pani, jaka dzikość w duszy mojéj wzrosła,
Jak mnie daleko krzywda matki twéj uniosła,
Mógłbym ciebie o moje winić zaślepienie,
Lecz chętnie, co minęło, puszczam w zapomnienie,
Zbyt szczęśliwy że przecież trwogę moję skracasz,
I własną oziębłością niewinność mi wracasz.
Widzę że zbytnią trwogą łatwo można zbłądzić,
Nie umiałem Cię poznać, ni siebie osądzić,
Mniemając się niewiernym, krzywdziłem cię, pani,
Ci tylko zdradzić mogą, którzy są kochani.
Nigdym miłości w naszych sercach niedostrzegał.
Tyś twojéj powinności, jam mojéj ulegał,
I nie wzbudzał twych uczuć, nie zasłużył na nie.....

HERMIONA.

Co! nie miłość to była? cóż było, tyranie?
Mimo hołd tylu królów, tobiem wierną była,
Samam w głąb twego państwa, do ciebie spieszyła,
I mimo że mnie zdradzasz, i z łez moich szydzisz,
Mimo Greków szemrania, jeszcze mnie tu widzisz.
Wstrzymałam ich zaciętość, hańby mojéj zmycie,
Zawszem twego powrotu wyglądała skrycie,
Sądząc że kiedyś przecie słuszny żal mój skrócisz,
Że mi kiedyś to serce, własność moją wrócisz.
Kochałam cię zmiennego, cóż gdybyś był stały!
I teraz gdy twe usta na śmierć mnie skazały,
Gdy mi tę miłość moją płacisz tak nikczemnie,
Niewdzięczny! wątpię jeszcze, czyś ją zgasił we mnie.
Lecz jeżeli konieczna tak każe potrzeba,
Jeźli innéj to szczęście przeznaczyły nieba,
Zawrzéj, zawrzéj te śluby.... lecz przynajmniéj, panie,
Nie zmuszaj Hermiony, by patrzyła na nie.
Po raz ostatni może widzim się oboje,
Czekaj do jutra, jutro pojmiesz brankę twoję.
Lecz cóżto milczysz, zdrajco? Widzę jak mi płacisz,
Żałujesz każdéj chwili, którą ze mną tracisz,

Widzę jak serce twoje ztąd się wydrzeć żąda,
Jak niecierpliwie swojéj Trojanki wygląda,
Do niéj sercem przemawiasz, jéj szukasz oczyma,
Uciekaj, przeniewierco! nikt cię tu nie trzyma!
Idź, mnie zaprzysiężoną wiarę dla niéj łamać,
Idź znieważać świątynię, samym Bogom kłamać.
Przypomną ci te Bogi swą straszną potęgą,
Że się ze mną złączyłeś tą samą przysięgą.
Biegnij, niech was te węzły wiarołomne spoją,
Biegnij, lecz i tam, zdrajco, drżyj przed zemstą moją.

SCENA VI.

Pirrus. Fenix.

FENIX.

Sam ją, panie, słyszałeś. Widzisz co cię czeka,
Strzeż się gniewnéj kochanki, co się mścić przyrzeka.
Zbyt tu wiele przychylnych liczy Hermiona,
Sprawa jéj z sprawą Greków zbyt ściśle złączona,
Orest kocha ją zawsze. Któż wie jakim czynem. . . .

PIRRUS.

Andromaka mnie czeka. Czuwaj nad jéj synem.

AKT PIĄTY.

SCENA 1.

HERMIONA sama.

Gdzież jestem, dokąd biegnę, czegoż chcę? o nieba!
Cóżem to uczyniła, czegoż jeszcze trzeba?
Zkąd te żale, zgryzoty, radość, trwoga, zawiść?
Nie wiem nawet co czuję, miłość czy nienawiść?
Srogi! jakżeś się z wierną rozstał Hermioną!
Widziałamże żal, — litość — przynajmniéj zmyśloną!
Widziałamże najmniejszą obawę, wzruszenie,
Nie mógł nawet na jedno zdobyć się westchnienie.
Nie zmiękczył się mym jękiem, nawet łzami memi,
Jakbym nie jego zbrodnię oblewała niemi.
I jeszcze go żałuję! to serce przemaga,
To niedołężne serce jeszcze za nim błaga!
Drżę na samo wspomnienie zemsty, któréj czekam,
I ledwie chcę téj śmierci, już się jéj wyrzekam.
Ale nie, nie, tak słuszna kara go nie minie,
Kiedy nie chce żyć dla mnie, a więc niechaj ginie!
Urąga się okrutnik, szydzi z méj rozpaczy,
I mniema, że z téj burzy łzy tylko zobaczy,
Że zbyt łatwo w tym nikłym ostygnę zapale,
I wznosząc jedną rękę, drugą go ocalę.
Dawna to moja dobroć tak śmiałym go czyni,
Lub raczéj samą zdradą zajęty w świątyni,
Wpatruje się w obmierzłe branki swéj oblicze,
I nie dba czy mu życia, czy też śmierci życzę.
Jakżeż ten srogi wybór moje dręczy serce!
Lecz nie, działaj Oreście, uderz w przeniewiercę —
Niech ginie, bo mógł przejrzeć skutek swojéj zdrady,
I bo sam mnie do swojéj przymusza zagłady.

Mnie zmusza? Jażto chcę go zgładzić tak nikczemnie!
Na to-żem go kochała, by zginął przezemnie?
Ten książe, o którego sławne czyny, boje,
Nie mogło dosyć serce napytać się moje,
I który już mi skrycie był tak drogi, miły,
Nim jeszcze te nieszczęsne węzły nas spoiły.
Przez tyle wód i krajów biegłam go zaślubić,
Na to-żem je przebyła, ażeby go zgubić,
Tak srodze zamordować. Ach! wprzód w własne łono...

SCENA II.

Hermiona. Kleona.

HERMIONA.

Ach, cóżem uczyniła! z czem biegniesz, Kleono?
Żyjeż Pirrus?

KLEONA.

Najwyższem szczęściem się upaja.
Każda chwila w nim miłość i dumę podwaja.
Widziałam jak wprowadzał w świątyni podwoje
Z całą pychą zwycięzcy nową zdobycz swoję,
Patrzył na nią radości i nadziei wzrokiem,
I nie mógł się tak lubym nasycić widokiem.
Lecz ona wśród okrzyków ludu obojętna,
Aż do samych ołtarzy Troi swéj pamiętna.
Bez radości, szemrania, miłości, odrazy,
Zdała się tylko jego wypełniać rozkazy.

HERMIONA.

Zdrajca!..... Jużeś więc hańby mojéj świadkiem była!
Ale czyliś w twarz jego dobrze się wpatrzyła?
Byłaż ta radość równie czysta jak głęboka?
Czyż choć raz ku téj stronie nie odwrócił oka?
Powiedz mi, czy cię widział? czy się ciebie chronił?
Gdy cię poznał niewdzięcznik, czy się też zapłonił?
Byłoż to pomieszanie skutkiem zgryzot serca?
Lub do końca-ż w swéj dumie wytrwał przeniewierca?

KLEONA.

Zaślepiony swem szczęściem, już na nic nie zważa,
Czy chwałę swą utraca, czy mu śmierć zagraża.
Nie pyta, kto z nim wchodzi, Grecy czy poddani,
Trojanką on jedynie zajęty jest, pani,
I sądząc, że sam tylko syn jéj zagrożony,
Całą straż swą do jego odesłał obrony.
Rozkazał Fenixowi życiem go zasłonić,
I w dalekim go zamku przed Grekami schronić.
Ta jedna w szczęściu jego troska mu została.

HERMIONA.

Zdrajca! Umrze. Lecz Orest..... cóż mówi? cóż działa?

KLEONA.

Widziałam jak z Grekami wchodził do świątyni.

HERMIONA.

Czyliż dla mojéj zemsty jeszcze nic nie czyni?

KLEONA.

Nie wiem.

HERMIONA.

Nie wiesz! a więc w téj ostatniéj potrzebie
Orest mnie nawet zdradza!

KLEONA.

On ubóstwia Ciebie.
Ale tysiączną dotąd miotany zgryzotą,
Waha się jeszcze między miłością i cnotą,
Między cześcią dla króla i twoim rozkazem,
Widzi w nim i Pirrusa i Achilla razem.
Zraża go wszystkich Greków, świata zagniewanie,
A zwłaszcza, że sam sobie obrzydłym się stanie.
Już mniema, że Ci głowę jego u nóg złoży,
Znów go imie zabójcy wstrzymuje i trwoży.
Wszedł wreście, lecz niepewny co daléj uczyni,
Czy świadkiem, czy mordercą wyjdzie ze świątyni.

HERMIONA.

Nie, nie, da on się jemu złączyć z Andromaką,
Za zbrodnięby poczytał przerwać świetność taką.

Wiem ja co za zgryzota trwogą go przenika,
Śmierć to tylko, śmierć sama trwoży nikczemnika.
O nieba! chociaż żadną prośbą nienaglone,
Wszystkie Greki przysięgły matki méj obronę.
Dziesięć lat zawsze w równym walczono zapale,
Dwudziestu królów legło, nieznanych jéj wcale.
A ja, co na śmierć zdrajcy jednego nastaję,
Co kochankowi pomstę krzywdy mojéj zdaję,
Sama do serca mego ułatwiam mu drogę,
Rękę daję, a zemsty wyżebrać nie mogę!
Mścijmyż się własną ręką, niechaj krew popłynie,
Niechaj krzyki boleści zapełnią świątynię.
Ten obmierzły, nieznośny, węzeł ich stargajmy,
I nad chwilę im jedną z sobą żyć nie dajmy.
Nikogo nie oszczędzę w mym wściekłym obłędzie,
Wszystko, sam Orest nawet Pirrusem mi będzie.
Umrę, ale przynajmniéj pomszczę się przy zgonie,
I nie mnie tylko samą ta przepaść pochłonie!

SCENA III.

Orest. Hermiona. Kleona.

ORESТ.

Stało się, pani, wola twoja już spełniona,
Już Pirrus przeniewierczy u ołtarza kona.

HERMIONA.

Pirrus umarł!

ORESТ.

Umiera. Tak, pani, w téj chwili,
Grecy twoją ohydę we krwi jego zmyli.
Przyrzekłem ci śmierć jego, a choć w pierwszéj dobie
Czułem wstręt do morderstwa, przemogłem go w sobie.
Pobiegłem do świątyni, gdziem już z każdéj strony
Zastał ołtarz przez naszych Greków otoczony,
Ujrzał mnie Pirrus, poznał, lecz na nic niezważał,
Zdawało się, że we mnie Grecyę znieważał,
Żem w nim męztwo podwajał, a z Greków orszaki
Przybył na uświetnienie ślubów Andromaki.
Nakoniec wzniósł koronę i wieńcząc jéj skronie,
„Przyjmij, rzekł, moją wiarę i osiądź na tronie.

„Lud, berło, rękę, serce i wszystko czém władam,
„Z całą sławą Achilla u nóg twoich składam.
„Odtąd się z synem twoim wiecznym węzłem sprzęgam,
„Zaprzysięgam to Bogom, matce zaprzysięgam,
„Ktokolwiek przeciw niemu — przeciw mnie powstanie.
„Królem! królem go waszym mianuję Trojanie!“
Ledwie głos ten z radością lud powtórzył cały,
Wszystkie Greki się krzykiem wściekłości ozwały,
I tak nań ze stron wszystkich rzuciły się razem,
Że go nie mogłem mojém dosięgnąć żelazem.
Jeden drugiemu chwałę téj zemsty wydzierał,
Widziałem jak się z nimi przez czas krótki ścierał,
Jak walczył do ostatka, mimo liczne rany;
Aż wreszcie przy ołtarzu upadł dokonany.
Przedarłem się w téj chwili przez tłum trwogą zdjęty,
Abym Ciebie natychmiast uniósł na okręty.
Wkrótce tam staną Grecy, wszyscy tą krwią zlani,
Którą jako twój mściciel przyrzekłem Ci, pani.

HERMIONA.

Cóż uczynili!

OREST.

Zbytnim zbłądzili zapałem.
Zawiedli twoją zemstę, ja ją spełnić miałem.
Tak, po mnie to téj śmierci żądałaś jedynie,
Aby czuł umierając że dla Ciebie ginie.
Ale jam ich to moim wprowadził przykładem,
Dla Ciebie to za moim wszyscy biegli śladem,
Tak Tobie się téj śmierci przynależy chwała,
Tyśto, pani, przez nasze ręce ją zadała,
Tyś się sama pomściła.

HERMIONA.

Milcz, zdrajco bezwstydny,
Ty sam tylko spełniłeś ten czyn tak ohydny,
Idź do Greków tą nową szczycić się ozdobą.
Ja się zrzekam twéj zbrodni i brzydzę się tobą.
Potworo! jakże mogłeś tę wściekłość wywierać?
Jak mogłeś to tak piękne życie mu wydzierać?
Jak się wasza krew cała, mordercy niegodni,
Nie obruszyła przeciw tak okropnéj zbrodni?
Lecz mów, jakiemżeś prawem krwią się jego zmazał?
Czemuś go zamordował? za co? kto ci kazał?

OREST.

Co, o nieba! nie Tyżeś, Ty zapamiętała,
Ty sama, tu, przed chwilą, zabić go kazała?

HERMIONA.

Ach! któż się słów szaleństwa zwykł tak ślepo chwytać,
Nie należałoż w głębi duszy mojéj czytać?
Czyś nie widział jak serce, mimo zapał wściekły,
Zawsze odwoływało, co usta wyrzekły.....
Gdybym nawet i rzekła to zabójcze słowo,
Czemużeś mnie usłuchał, nie pytał na nowo?
Czemuś stokroć nie pytał, ciosu nieodwlekał,
Czemuś do mnie nie wracał, lub raczéj uciekał?
Sama ja, sama mogłam moją zetrzeć zmazę,
Po-coś przybył w te miejsca wszystkim na odrazę?
Patrz teraz com na twoim zyskała obłędzie;
Przyniosłeś mi nieszczęście, co cię ściga wszędzie.
Tyśto znaglił te śluby przez twoje przybycie.
Mnie wydarłeś kochanka, jemuś wydarł życie.
Byłby w nim może kiedyś stan mój litość wzbudził,
Byłby mnie może kochał, a przynajmniéj łudził.
Jedź, uciekaj, ja tutaj losu mego czekam,
Grecyi, Sparty, tronu, wszystkiego się zrzekam,
Wszystko mi zbrzydło, nawet i krew moja cała,
Dla tego tylko, zdrajco, że ciebie wydała!

SCENA IV.

OREST sam.

Hermionaż to była? jéjże to wyrazy?
Na czyjeż ja to krew tę przelałem rozkazy?
Zwie mnie zdrajcą! mordercą! Gdzież jestem nareście?.....
Pirrus-że to umiera?..... Tyżeś to Oreście?.....
Któżto ten głos rozsądku mógł przytłumić we mnie?
Króla, którego wielbię, zabijam nikczemnie,
Ta ręka tyle gwałtów w jednym dniu zadawa,
Gwałcę posłów, monarchów i ludzkości prawa,
Ołtarze nawet wściekłym znieważam zapałem!
Zdrajcą, krzywoprzysiężcą, mordercą zostałem!
Dla kogo? dla niewdzięcznéj! która krwi téj woła,
Która, choćby nie zginął, kochać mnie niezdoła,

Któréj wściekłość przejmuję..... A gdy wstyd jéj mażę,
Krew i życie kochanka sobie zwracać każe.....
Kocha go, mnie jak wściekłéj potwory się zrzeka,
I z tylu przeklęstwami z mych oczu ucieka,
Samą hańbę po moim zostawia mi czynie,
Który dla jéj miłości spełniłem jedynie.

SCENA V i ostatnia.

Orest. Pilad. Żołnierze Oresta.

PILAD.

Chroń się, chroń się Oreście, póki czas uciekać,
Lub oba postanówmy tutaj śmierci czekać.
Na chwilę jeszcze Grecy przystępu tu bronią,
Lecz cały lud za niemi zbrojną ściga dłonią.
Trojanka wszystkiém rządzi. Jak nas nienawidzą,
Tak w niéj żonę Pirrusa i królowę widzą.
Sama już nawet dawny wstręt swój pokonywa,
Jak wierna po nim wdowa, lud do zemsty wzywa.
Zbyt to dla niéj korzystna zdarzyła się pora,
Pomścić się na nas obu: Troi i Hektora!
Złączą się z nami Greki, lecz uchodź na Bogi,
Uchódź, nim ci lud wściekły wszystkie przetnie drogi;
Dopóki go wstrzymuje widok Hermiony,
Tędy spieszmy, z téj tylko jeszcze ujdziem strony.

OREST.

Nie, nie, za Hermioną samą spieszyć muszę,
Nie przeżyłbym jéj przeklęstw, niech mi wydrą duszę.
Chroń się, jam spełnił zbrodnię, niech mnie lud poświęci.

PILAD.

Wiecznie już Hermionę wygładź z twéj pamięci,
Nie dosyć-żeś to przez nią udręczanym bywał,
Byś jeszcze nowych obelg i z grobów przyzywał?
Czyż że ona umarła, tobie umrzeć trzeba?

OREST.

Hermiona nie żyje? Cóżem słyszał, nieba!

PILAD.

Co, nieszczęsny Oreście, niewiedziałżeś o tém?
Właśnie gdyśmy ku tobie dążyli z powrotem,
W obłąkaniu i trwodze, do świątyni biegła,
Kiedy w tym niesionego Pirrusa postrzegła,
Rzuciła się z wściekłością ku skrwawionym zwłokom,
A jakby srogim Bogów złorzecząc wyrokom,
Z ręką zbrojną żelazem, niema i wybladła,
Spojrzała się w niebiosa, przebiła i padła.

OREST.

Już więc wszelką myśl ludzką przeszedł los mój srogi.
Wielbię waszę wytrwałość, zagniewane Bogi.
Zsyłając cios po ciosie, i kary na kary,
Dopełniłyście wreście nieszczęść moich miary.
Jakiéj gniew wasz rozkoszy w moich mękach użył?
Natom żył, bym za przykład waszéj zemsty służył,
I strasznym wszystkich nieszczęść przerażał obrazem.....
Ginę więc, los mój spełniam, i cieszę się razem!
Gdzież ta para kochanków? Niechaj w nich ugodzę,
Niechaj krew ich wytoczę, w niéj i mojéj brodzę,
Niech się w nich wryją moje konające oczy,
Niechaj śmierć te tak sprzeczne trzy serca zjednoczy!
Lecz zkąd ta nagła ciemność? zkąd ta noc straszliwa?
Zkądże mnie to ta zgroza? zkąd ten dreszcz porywa?
Gdzież wyjdę?.... Dzięki Bogom, rozchodzą się cienie.....
Nieba! jakież to w koło lecą krwi strumienie.

PILAD.

Oreście!....

OREST.

Co, Pirrusie, znów stawasz przedemnie?
Na próżnoż cię unikam, zabijam daremnie?
Jakimżeś się od śmierci wyratował losem?
Giń! giń! pod tym ostatnim pewno legniesz ciosem!
Lecz cóżto Hermiona przystępu mi wzbrania,
W moich oczach go ściska, od śmierci zasłania,
Nieba! jakiż to na mnie rzuca wzrok zaciekły!
Jakież się za nią widma i węże przywlekły!

Pójdźcież, jędze, nad waszą pastwić się zdobyczą,
Na kogoż wasze węże tak straszliwie syczą?
Dla kogoż to te stosy, te miecze, płomienie,
Czyliż mnie przychodzicie w wieczne porwać cienie?
Pójdźcie, pójdźcie, ja sam się w wasze rzucam dłonie!
Ale nie..... nie..... Dozwólcie tylko Hermionie,
Niewdzięczna, wszystkie moje przewyższy morderce,
Ja sam jéj na pożarcie własne oddam serce!. . .

JENERAŁ FRANCISZEK MORAWSKI.

(Ze wspomnień Stanisława Koźmiana.[1])

Gdym był małym jeszcze chłopcem, widywałem często jenerała Morawskiego w Lublinie i w Piotrowicach, siedzibie mego stryja Kajetana. I dla nas dzieci miał on zawsze jakieś zabawne i dowcipne słówko. Z owych jednak czasów pamiętam jeden tylko jego wierszowany koncepcik. Na folwarku w Piotrowicach wychowywał się sierota, któremu było imie Kocio. Kręcił się on koło dworu i czasem z nami bawił. Wyprawiano z nim figle i pustoty rozmaite. Raz go ktoś posadził na zabłąkanego na dziedzińcu prosiaka. Kocio się trzymał póki mógł, aż spadł w kałużę. Przytomny jenerał zaraz tę awanturkę tak wierszem oddał:

Od folwarku do tartaku
Jechał Kocio na prosiaku,
Prosiak fajt — i kocio w błocie,
Nie ujeżdżaj świni kocie.

Ale mię wtedy jeszcze więcéj niż wszelkie wiersze zajmowały szlify jenerała z ogromnemi buljonami srebrnemi i stosowany kapelusz z bogatym biało-czerwonym pióro-puszem.

---

[1] Wspomnienia te, zawierające rozległą korespondencyę jenerała Morawskiego z ich autorem, zbyt są obszerne, abyśmy je mogli w całości tu umieścić. Są w nich przytém mnogie ustępy, których przez wzgląd na czas i okoliczności nie wypada nam przytaczać. Opuszczamy przeto wiele listów jenerała, a jeszcze więcéj z opowiadań autora. Mimo tego, autorowi wydaje się jeszcze za nadto tych ostatnich, gdyż nic przykrzejszego jak być zmuszonym do mówienia tak często jak tu o sobie, bez czego jednak korespondencya ta byłaby niezrozumiałą.

W 1826 przeszedłem ze szkół lubelskich do liceum warszawskiego. W Warszawie bywając niekiedy u stryja Kajetana, przysłuchiwałem się z ciekawością rozmowom literackim, które odwiedzający go licznie rozmaici pisarze między sobą prowadzili. Rozmowy te znacznie się ożywiały ilekroć jenerał Morawski przybył. Zapalony stronnik Mickiewicza i nowéj szkoły, jako cała wówczas młodzież, a żarliwy do tego stopnia, że mię stryj zawsze Mickiewiczem nazywał, przywiązywałem się coraz bardziéj do Morawskiego za to, że mego wieszcza bronił.

W 1829 w czasie koronacyi przybyła do Warszawy sławna śpiewaczka Henrietta Sontag. Młodzież unosiła się nad jéj uroczym głosem i świetne sprawiała jéj owacye. Sypały się na jéj cześć ody i wiersze różne, głównie z ław uniwersyteckich. Ludwik Wołowski napisał jednę po francuzku, Gaszyński po polsku drugą. Ja także wystąpiłem z wierszem, i to pierwszy raz w druku. Morawski przeczytał, pochwalił, i odtąd mię zwał Koźmianem Zontagowskim.

W czasie wojny 1831 r. raz tylko go widziałem. Wszedłem był do tak nazwanéj gwardyi honorowéj, która przy dyktatorze służbę odbywała. Razu jednego, może na tydzień przed bitwą grochowską, stałem z drugim na warcie przed kwaterą Naczelnego wodza w Jabłonnie, i jako starszy z dwóch komenderowałem, gdy przed jakimś oficerem trzeba było broń zaprezentować. W tém patrzę, wchodzi jenerał Morawski z ogromną teką jako minister wojny. Szybko przechodząc nie spojrzał na mnie, ani dosłyszał mego głosu, ale gdy wracał poznał mię, i zatrzymawszy się zawołał: A ty co tu robisz? Potém zaczął się wypytywać jak się mam, czy lubię służbę, czy piszę co pod bronią, i odchodząc uścisnął. Gdyby jaki rygorysta oficer był to widział z boku, byłby się pewnie oburzył na jenerała, który szyldwacha ściskał, chociażby był nawet przypadkiem wiedział, że to raczéj sławny autor Wiersza do Klassyków witał biednego autorka lichych wierszydeł do panny Sontag.

Odtąd nie widziałem go aż dopiero w 1849, gdym przybył do Wielkopolski w styczniu tegoż roku. Chociaż zima była bardzo ostra, zaraz na początku lutego wybrałem się z bratem z Turwi do Luboni. Po całodziennéj podróży, zziębnięci przybyliśmy tam nad samym wieczorem. Zaraz jenerał wyszedł do nas. Ale jakże zmieniony! Już nie był to ów tęgi i śliczny mężczyzna, ale osiwiały, pochylony starzec, ledwiem go poznał. Przebył téż był w ostatnich latach nader dokuczliwą i niebezpieczną chorobę. Uratowała go szczęśliwie dokonana w Dreźnie operacya. Sam mi nieraz późniéj opowiadał co podczas niéj wycierpiał, i jak Zygmunt Krasiński rękę mu od początku do końca trzymał. Wkrótce wszedł do salonu Tadeusz z swą miłą i młodziutką żoną, ową złotą Zosią, o któréj tyle w emigracyi słyszałem. Wychowywała się bowiem u pani Klementyny z Tańskiéj Hoffmanowéj w Paryżu, wraz z Zofią Rozengart, późniejszą Bohdanową Zaleską. Obie anielskiéj dobroci, obie zarówno kochane, i podziwiane, jedna nieco śniada, druga przejrzystéj białości, były zwykle dla rozróżnienia zwane tamta złotą, ta srebrną Zosią.

Po zwykłych zapytaniach o zdrowie, o rodzinę, wpadliśmy wnet na literaturę. Pamiętam jak dziś że była mowa o różnicy w roli jaką fatalność odgrywała w dziełach dramatycznych starożytności a jaką w nowożytnych dramatach np. w Makbecie Szekspira. Na takiéj pogadance zeszedł nam niepostrzeżenie czas do wieczerzy. Głodni, gdyśmy zasiedli do stołu, nie bardzośmy zważali co nam podawano. Na ostatnią potrawę dano makaron włoski. Nikt go nie jadł prócz nas dwóch. Gdy tak go pożywamy smacznie, spostrzegamy że pani Zofia wychodzi do drugiego pokoju i raz po raz to Tadeusza to jenerała do siebie przywołuje. Rozmowa jakoś się urwała, jenerał się zasępił, ciszę tylko półsłówka przerywały, widocznie coś nieprzyjemnego musiało się wydarzyć, ale pewnie nic strasznego bo jeszcze dzieci nie było, gubiliśmy się w przypuszczeniach ale nie śmieliśmy się zapytać, gdy w tém wpada młode małżeństwo z wielkim śmiechem i hałasem i całą tajemnicę wyjawia. Pani Zofia spostrzegła na makaronie, któryśmy zajadali, jakąś zieloność. Tkliwa troskliwość i żywa imaginacya przedstawiła jéj zaraz że musiał być gotowany w rądlu niepobielanym i że ta zieloność niczém inném być nie może tylko grynszpanem. Natychmiast więc wysłała konie do poblizkiego miasta po doktora, a tymczasem powystawiała z apteczki wszystkie antidoty przeciw truciznie, aby nas ratować skoroby się pierwsze oznaki otrucia okazały. Wtedy dopiero przyszło jéj na myśl pójść do kuchni i wybadać kucharza. Okazało się że makaron był przyrządzony w naczyniu, w którém wprzód szpinak gotowano. Naśmieliśmy się i nabawili z téj urojonéj przygody, a jenerał wciąż powtarzał: Coby to była za tragedya, Koźmianowie otruci przez Morawskich.

. . . .

Lubonia leży w płaskiéj, nieuroczéj, ale żyznéj i ludnéj okolicy. Pełno tu domów zamożnych i miłego sąsiedztwa. O długim dniu majowym lub czerwcowym można było z łatwością dziesięć domów objechać i w każdym godzinę zabawić. Z noclegu w Goli u Gustawa Potworowskiego jadąc na nocleg do Sułkowskich w Rydzynie, można było wstąpić do Józefa Łubieńskiego w Pudliszkach, Józefa Mycielskiego w Rokosowie, Marcellego Żółtowskiego w Drzewcach, referendarza Morawskiego w Oporowie, Wojciecha M. w Oporówku, jenerała w Luboni, Stanisława Mycielskiego w Punicu, Leona Mielżyńskiego w Pawłowicach. Z tych Rydzyna, Rokosowo i Pawłowice były najwystawniejszemi, ale Oporowo i Lubonia najprzyjemniejszemi domami. Mały i niepoczesny dworek w Oporowie był najczęściéj punktem zebrania całéj rodziny. Gdzie się to i jak wszystko mieściło, wytłomaczy chyba właściwość domów polskich rozszerzania się do nieskończoności. Zastawałeś więc ciasne a niskie pokoiki zawsze pełnemi córek, zięciów, wnucząt, krewnych i sąsiadów. Ale w nich jak wymiótł, jeżeli w pobliskim kościołku było nabożeństwo. Towarzystwo zwykle grupowało się koło referendarza albo jego żony. Nie rzadko znalazłeś w niem przybyszów z najrozmaitszych i najdalszych dzielnic

Polski. Wiadomo jak liczną jest rodzina Łubieńskich. Pod koniec życia pan minister liczył niemal 100 osób wprost od siebie pochodzących, a do każdéj przynajmniéj raz w rok pisywał. Ta to pochopność do korespondencyi, która całą tę rodzinę odznacza, sprawiała żeś w Oporowie zawsze zastawał najświeższe i najobfitsze wiadomości ze wszystkich stron świata. Ztąd téż wstępna pogadanka przechodziła natychmiast w poważną rozmowę to o polityce, to o literaturze, w któréj i starsi i młodsi równie gorący udział brali. Kogokolwiek z nich zapytasz w jakim bądź przedmiocie, wszystko wie, wszystko umie, w każdéj rzeczy ma dowcipne lub mądre zdanie, a przecież słucha cię uprzejmie, bada, pragnie się nauczyć, i najmniejszą zasługę podnosi i wychwala. Nadzwyczajną zdolność i dziwną ruchliwość umysłu swych dzieci umiała roztropna matka, lubo sama pełna także żywości umysłowéj i imaginacyi, ująć w karby niezłomnych zasad i pokierować ku poważnym a pożytecznym i bezpiecznym naukom. Ona sama jedna wszystkie wychowała i wyuczyła. Zmuszona często całe dnie przepędzać w łóżku z powodu puchliny w nogach, obracała godziny wolne od lekcyi na pisanie wykładów dla małych dzieci. Niektóre, jak np. historyę, potocznym wierszem układała. Kajety te, przepisywane w mnogich eksemplarzach, dotąd służą w wielu rodzinach wielkopolskich do pierwszych nauk dzieciom. Połączona ścisłą przyjaźnią z jenerałową Chłapowską i księżną Antoniową Sułkowską, stanowiła z niemi jakby areopag, do którego zewsząd młode matki udawały się po radę i naukę. O pobożności i rozlicznych cnotach téj przezacnéj pani nie potrzebuję mówić. Chwała Bogu, wzory ich nie są rzadkie w Wielkopolsce, ale można śmiało powiedzieć że i w naszéj prowincyi trudno było gdzie znaleść cnót tyle pociągających niezrównaną pokorą i słodyczą. Rozszerzyłem się nad tém kółkiem oporowskiem dla tego, że tu jenerał prawie codzień bywał, tu czerpał wiele wiadomości a może i natchnień, tu nieraz znajdował zbawienne karby dla swego dowcipu i ku poważniejszym myślom kierunek. Lubonia leży tylko o kwadrans drogi od Oporowa. Droga jak na strzał prościutka, zawsze doskonale utrzymana, wysadzona topolami, i tylko w jedném miejscu przecięta wjazdem do Oporówka, sama już pokazuje, że łączy domy albo dwóch braci albo dwóch serdecznych sąsiadów. Ale postać Luboni nieco odmienna. Dom z początku mały z nizkiemi pokoikami, wielce się z czasem rozszerzył i upięknił rozmaitemi i ozdobnemi przybudowaniami. Z jednéj strony obszerny pokój jenerała, z drugiéj gustowna kaplica, w koło zgrabna weranda, wszędzie mnóstwo ślicznych ozdóbek, nadały mu nadobną powierzchowność. Ogród bardzo miły i starannie utrzymany, pełno wody, na stawach wysepki, na ślicznych trawnikach odwieczne dęby. Sama natura miejsce i granice mu wskazała tworząc jakby lekko wydrążoną dolinkę na tych płaskich obszarach.

W jesieni 1850 r. wracając z Luboni ułożyłem wiersz do jenerała który potém wydrukowany w *Pokłosiu* o mało nie poprowadził to pismo przed kratki sądowe. W wierszu tym opisując Lubonię, jako siedzibę

godną wieszcza nadziei, (pamiętną jest poezya jenerała kończąca się słowami: „Pozwól się, pozwól spodziewać"), wspominam

Te kilka źródeł jak nadzieja czystych,
I kilka dębów tak wiecznych jak ona.

Otóż pierwszy list, który od jenerała w mych papierach odnalazłem, niesie mi dzięki za ten podarek poetyczny. Pisze on pod datą $^{22}/_{11}$ 50.

„Najprzód zaczynam od podzięki za wiersz mi przysłany dawniéj. Czytaliśmy go po wszystkich domach rodziny naszéj. Myśl nadzwyczaj szczęśliwa, a właścicielowi Luboni tak pochlebna, że czeka tylko na porę widzenia się osobistego, aby goręcéj jeszcze podziękować. Żałuję że podług listu twego oddala się dzień waszego tu przybycia. Co się u nas dzieje, to pewnie i u was. Baby młócą i rąbią, baby warzą strawę pańską, baby czyszczą buty i szarawarki. Wszystko co żyje musiało pobiedz na obronę pruskiego honoru! — Odsyłam rys życia Radziwiłła. Szkoda że niema więcéj zwięzłości w stylu, szkoda że inaczéj nie można sławić zmarłego. Pochwała ta, choć bardzo sztucznie napisana, ma przecież zawsze postać obrony. Albo tak jak Andrzéj trzeba pojąć Radziwiłła, albo dać pokój pochwale, nic nie napisać. Niepodobna zręczniéj się wywinąć z zadania. Nie wiem tylko czy niema nieco przesady: Rezygnacyę do *nicości*, która dość Radziwiłłowi naturalną była, wynosić nad najwyższe cnoty i ofiary, równać go z Kurcyuszem, wywyższać nawet nad niego! Ale z drugiéj strony nie w tém świetle go wystawić, byłoby to samo co nic o nim nie powiedzieć. Są przytém uwagi doskonałe, łatwo do czasu stosować się dające, przestrogi prawdziwe zbawienne, i część historyczna także, które zawsze oświecić i krzywość sprostować mogą. Trzeba więc drukować, niewymieniając nazwiska autora. Małe poprawki będą potrzebne może...... Żadną miarą nie można w rzędzie jego pochwał mieścić, że był przeznaczony do prezentowania dam cesarzowi. Cóż to za śmieszna małość przy chwale, nadchwale Kurcyusza! Koniecznie to wyrzucić trzeba, bo pewny jestem, że tylko na prożby księżnéj Andrzéj wśrubował ten drobiażdżek, gdyż u światowych stołecznych pań nie mało to znaczy. — Od odjazdu waszego choroba wnuczki, moje zwykłe dolegliwości, mniejsze wycieczki, słoty uparte, i krzyki tonącego honoru pruskiego sprawiły, żem się niczém nie trudnił, do niczego nie czuł popędu. Bytność córki, listy, grzmoty i blaski warszawskie, wszystko mię tak zajęło, otumaniło żem nawet nic nie czytał, prócz książeczki pacierzowéj i dowcipów *Gońca*. Od dwóch dni dopiero zacząłem czytać Szweda mi przysłanego. Przełożyłem wczoraj z niego Pokusę Frithiofa, dość długą i dramatyczną. Przy okazyi odeślę. Zrobisz z tém co ci się podoba. Jest 28 strof. Więcéj przekładać nie myślę, bo nie lubię z tłomaczenia tłomaczyć, zwłaszcza z rymowanego, a więc może mniéj wiernego oryginałowi. Mógłbym się nad tém męczyć niepotrzebnie, gdzie właśnie tłomacz pierwszy najwięcéj zgrzeszył. Zresztą są takie wyrazy do plat-deutsch należące, jak *Kämpe*, których w żadnym dykcyonarzu nie znajdziesz. A nakoniec ja mam pewne prawidła w tłomaczeniu autorów nieklasycznych, które nie

wiem czyby się podobały twemu zdaniu, to jest nie opuszczać niczego, co historyą treści przedmiotu stanowi, naśladować ile możności zapęd zwrotów i charakter stylu, i nakoniec wszystko do ostatniéj kropli wyczerpać, co jest poezyą. Tych warunków dopełniając rzucam się z całą wolnością w prawo, w lewo, niżéj, wyżéj, słowem nie zważam na drobnostki, na pewne wyrazy, i jeden obraz drugim zastępuję, gdy trzeba lub nie mogę inaczéj. — Probuję w téj chwili czy nie ułożę coś *Xenii* polskim wierszem. Mam już ich kilkanaście dwurymowych. Maxymy, satyrki, dowcipne żarty, trafne prawdy, religijne, polityczne, literackie, wszystko to się tam mieści.“

Postanowiwszy dawać po każdym liście jenerała stosowne objaśnienie co do szczegółów w nim zawartych, tu wypada mi najprzód następujący dołączyć komentarz. List powyższy był pisany w czasie mobilizacyi pruskiéj, która się skończyła śmiesznym starciem pod Bronzell, der Völker-Szlacht bei Bronzell, a w końcu przeprosinami w Ołomuńcu. — Andrzéj Koźmian, napisawszy na prośbę księżny Michałowéj Radziwiłłowéj rys życia jéj męża, przysłał nam rękopism do druku, z żądaniem aby go wprzód poddać pod sąd jenerała. Ztąd powyższe o Radziwille uwagi. — Ceniąc wysoko poezye Tegnera, do owych czasów nieznane publiczności polskiéj, namawiałem jenerała aby przełożył główne jego dzieło Frithiofs-Saga. Gdy żadnym sposobem przedsiewziąść całéj téj pracy nie chciał, stanęło na tém że przełoży kilka piękniejszych ustępów, a ja powiąże je prozą i wydrukuję *w Przeglądzie.* Około tego czasu jenerał wiele napisał *Xenii.* Były drukowane w *Przeglądzie* w 1853 r.

Maksymy te, pełne głębokich myśli, nie dość zwróciły dotąd uwagę krytyków. Podając je do druku, usunąłem kilkanaście dla tego aby na raz nie przeciążać poszytu morałami, a przytém że niektóre z nich wydały mi się słabszemi. Spostrzegłem późniéj że autorowi nieprzyjemną była ta moja dowolność. Wypisuję tu więc opuszczone wtedy:

Dary życia.

Masz wielkie dary życia, zostaw nam drobniejsze,
Tém mniéj ci świeczek trzeba, im słońce jaśniejsze.

Obraz małżonków.

Codzień się, codzień silniéj kochali oboje,
Aż nakoniec i miłość pokochali swoję.

Cierpliwość źródłem dobrego.

Cierpliwości na ziemi uczą nas zmartwienia,
Cierpliwość zaś dobroci, dobroć przebaczenia,

Przebaczenie znów do bram niebios nas przywodzi,
Tak jeden skarb zdobyty, tysiąc innych rodzi.

Brak rozsądku.

Nie zawsze myślą poszczyci się zdrową
Głowa, co z saméj nauki jest znaną;
Wszak i kapusta cała jest głową,
Przecież zawsze kapuścianą.

Perspektywa.

Na nic ci perspektywa we śnie się nie przyda,
Tylebyś przez nią widział co w wierszach Norwida.

Postęp.

Kto lisią sztuką urząd swój zdobędzie,
Ten pewno jak wilk urzędować będzie.

Zarzut Kaznodziei.

„Dobrze uczysz, lecz innyś w czynie, inny w słowie."
Tak pan Jan księdza swego nie przestawał winić.
„Podwójnie więc cię uczę, — skromny ksiądz odpowie, —
„Czynem czego unikać, a słowem co czynić."

Exkuza Pijaka.

„Spiłeś się — i w niedzielę!" rzekł pan chłopu swemu.
A ten na to: „Mój panie, czyż ja winien temu?
„Człowiek chodzi za nosem. Stokroć więc szczęśliwy,
„Kto ten nos dostał prosty, — mój nieszczęściem krzywy.
„Krzywo téż ciągle chodząc, często się zawodzę,
„Chciałbym wejść do kościoła, a do karczmy wchodzę."

Z Lessynga.

„Mówią że włos twój czernisz, — kłamliwe to głosy,
„Ty od razu kupiłeś sobie czarne włosy.

Gaskonady.

Spotkały się raz z sobą dwa sławne Gaskony,
Rzekł tancmistrz: „Jam tak lekki jak puszek zdmuchniony.
„Nigdy ja pyłem ziemi stóp moich nie zbrudzę,
„A gdy skoczę do góry, w powietrzu się nudzę."
„A ja, — fechmistrz zawoła, — tak-em doskonały,
„Że nieraz w śród największéj deszczowéj nawały,

„Tak szybko szpadą macham, a tak zręcznie, składnie,
„Że kropla nawet deszczu na mnie nie upadnie.“

Wyższe uczucie kobiety.

„Żem przez cię zdradnie uwiedzioną była,
„Mogę ból ciężkiéj przytłumić rozpaczy;
„Ale żem wiarę w wiarę utraciła,
„Tego żal mój nie przebaczy.“

Przeczucie.

Jak nieraz lutnia, mimo że nietknięta,
Zabrzmi i niewie skąd jéj dźwięk pochodzi,
Tak wróżba serca, tajna, niepojęta,
Niewiedzieć skąd się w nas zrodzi.

Napis na drzwiach.

Ilekroć w twej komnacie marzysz, stąpasz dumnie,
Pamiętaj że z niéj kiedyś wyniosą cię w trumnie.

W 1849 czy 50 Andrzéj przybywszy do Wielkopolski czytywał nam główne ustępy z *Czarnieckiego*. W owym to także czasie jenerał drukował swój *Dworzec*. Znany już jest jego kłopot z dedykacyą. Oto co do mnie pisze w następującym liście z $^{3}/_{12}$ 50.

„Miałem listy z Piotrowic, które tu przyłączam, abyście się przekonali że zmiana dedykacyi mego *Dziadka* nakazaną mi była i żem musiał z szaty świetniejszéj rozebrać postać mi drogą waszego starego stryja. Druś (Andrzéj) miał tę dedykacyę w Luboni, w drodze, w Dobrzechowie, a dopiero teraz gdy poemacik wydrukowany, zeszyty i oprawiony, nakazuje tak gorąco zmianę. Bardzo mię to zabolało, bo ja *pleno ore* chciałem powiedzieć światu ile Kajetana Koźmiana kocham i szanuję. Teraz dwa K. K. będą tyle znaczyć co Killian Koczorkiewicz, nic a nic więcéj. Nie mogę godzić się na to, co stryj pisze, aby w drugiéj części nierozdrapywać rany, bo już inni to czynili, i przestać na rzewności. Gdyby pięćdziesięciu wzięto na tortury, możnażby 50mu zakazywać krzyczenia z przyczyny że już 49ciu krzyczało? Zupełnie przeciwnego w Dreźnie był Zygmunt zdania, i właśnie w kontraście tych dwóch części, komicznéj i tragicznéj, widział zaletę i mówił że jedna drugiéj wyrównać powinna. Gwoździ, gwoździ tragicznych, rozdzierających, nabij jak najwięcéj, takie było jego wyrażenie..... U nas łoskotu i huku dużo. Czarne huzary trąbią, piechota bębni. Co chwila lękamy się powołania dziedzica młodego. Ma on wprawdzie wymówkę dostateczną, ale niemiecki honor tak okropnie gwałtu-

woła, tak groźnie się odkazują Borussy, że wąsy im i pazury na łokieć porosły, i rady niema z niemi, w każdym wzroku *saperment*, we wszystkich głosach *Donner Wetter*...... Czytam teraz nowe konferencye Lakordera. Najświetniejszy to sztandar religijny rozwinięty! Nie wiedzieć czemu się bardziéj dziwić, czy potędze myśli po samém dnie przedmiotu nurtującéj, czy porządkowi pomysłów, czy słonecznéj jasności rozumowania!«

W końcu 1850 wyszedł *Dworzec*. Pierwszą część słyszałem już kilka razy wpierw czytaną. Na kilka miesięcy przed podaniem do druku, Andrzéj, Ropelowski i ja byliśmy w Luboni, jenerał nam czytał całość i prosił o uwagi. A. chwalił, R. milczał, ja tylko jeden, acz nie śmiało i łagodnie, objawiłem pewne wątpliwości. Jenerał odpowiadał że już teraz trudno zmienić. Gdy *Dworzec* wyszedł z druku, napisałem recenzyę do *Przeglądu*. Czekał na nią Iszy poszyt 1851, więc pisałem bardzo szybko. Nie było czasu ostygnąć, by każde zdanie spokojnéj poddać rozwadze. Prócz tego ciągłe zarzuty pism nam nieprzychylnych, że stanowimy koteryę, że jedni drugich chwalimy i uwielbiamy, a bezwzględnie potępiamy wszystkich i wszystko co za jéj ciasnym obrębem stoi, — zarzuty najniesprawiedliwsze gdyż jeśli nie zawsze łagodnie względem przeciwników, to zawsze surowo względem przyjaciół postępowaliśmy, — tak mię były zjątrzyły, żem w méj recenzyi *Dworca* bezbarwniéj ustępy pochwalne a jaskrawiéj naganiające wysłowił, niżbym to w innych okolicznościach był uczynił. Odczytując jednak dziś tę krytykę, widzę, że prócz kilku drobiazgowych zarzutów, kilku zbyt mocnych wyrażeń, nie zawiera ona nic takiego, coby się sprzeciwiało i obecnemu memu zdaniu o tym utworze. Na *Dworcu* zawsze znać będzie że nie z jednego wyszedł pomysłu, że opisowa część miała być wszystkiém, że dopiero po jéj ukończeniu przyczepiony późniéj został dramacik, a do tego dramaciku najprzód jedna mała scena, potém druga mniejsza, a wreście najmniejsza.

Jenerał wielce ceniąc Mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza*, mocno zawsze ubolewał, że nasz wielki poeta tak pobieżnie tylko wspomniał przy końcu o Dąbrowskim. A ileż *Dworzec* byłby zyskał, gdyby autor był uczynił drugiéj części bohaterem wojownika, którego tak znał dobrze i tak wysoko cenił. „Wystaw sobie, (pisze on do Józefa Morawskiego), bohatera objaśnionego słońcem Rzymu, zatrącającego okropnie niemczyzną, przybranego w kurtę sarmacką, którąby piwniczemu Batorego ledwie do kroju przypadła, i w téj kurcie mówiącego znowu językiem Petrarki, rozumującego z wyższym smakiem o cudach sztuk Italii, w każdym kroku chcącego kopiować Czarnieckiego, w każdym czynie patrzącego na historyę, chciwego sławy — nie znaczenia zwykłego, najbieglejszego historyka i znawcę dziejów ojczystych, najtrafniejszego obserwatora charakteru narodowego, kobiet naszych, prawiącego ciągle tysiące śmiesznych dykteryjek o Polakach, wiecznie podciągającego stare pludry,

zwinnego często lisa zwłaszcza z cudzoziemcami, nakoniec kochającego Polskę szczerze, lecz zwłaszcza jako pole swojéj sławy, jako drogę do wielkiego imienia, — oto go masz zrysowanego, lecz dopiero w części. Nikt go może bliżéj nie znał odemnie, nikomu się tyle nie zwierzał przez lat jedenaście co mnie, przed nikim nie obnażył tak prawdziwego Dąbrowskiego jak przedemną.« — Już z tych przelotnych słów znać jakiém byłby życiem i prawdą zabłysnął pod takim dłutem, „ów kolos naszych dziejów,« jak go w tymże liście autor nazywa!

Na krytykę odpowiedział mi Jenerał listem na trzech wielkich arkuszach drobnego pisma skreślonym. Że żądał niezwłocznego zwrotu téj repliki, posiadam ją tylko w kopii. Cały ten list znajdzie pewnie kiedyś miejsce albo w całkowitém wydaniu pism jenerała albo w jakiém dziele o tegoczesnéj literaturze naszéj. Tu więc zamieszczam tylko kilka dowcipniejszych okresów z samego wstępu.

„Krytyk obsypuje mię z początku takiemi pochwałami, że z całą szczerością serca mówiąc, pomimo największéj miłości siebie, nie mogę nie nazwać ich zbytecznemi, przesadzonemi. Lecz za to, po zdaniu sprawy o treści dziełka, tak przez kilka stronnic gromi, jakby mu żal było, że mię zbyt skwapliwie pochwalił. Bez wytchnienia już odtąd siecze, i nakoniec ledwie kilku obrazom i szczegółowym rysom przyznaje jakąś wartość i zasługę. Przepraszam za trochę niskie porównanie, ale krytyk przypomina mi owego poczciwego i zacnego komisarza obwodu, który cierpiąc na tém, że przykrego musi dopełnić obowiązku, wchodzi do domu szlachcica z wszystkiemi formami grzeczności, chwali jego gospodarstwo, koniki, dziateczki, i obrazki po ścianach rozwieszone, aby mu późniéj oświadczyć, że ma rozkaz wziąść go w dyby i zaprowadzić do cytadeli..... Ale co recenzentowi do tego że autor chciał zostać na poziomie? Wiem że krytyk mi powie: kiedy tak miało być, to trzeba było nie wspominać ani Kościuszki, ani Napoleona, bo tak *widnokrąg* się rozszerzył, który przebiedz należało. A więc dla tego, że wystawiając jakiś pejżaż, kawałek morza w dali ukazałem, już mam dla tego, że się widnokrąg oceanu z dala ukazał, koniecznie malować wszystkie po nim przepływające floty, boje morskie, burze i rozbicia? Mamyż prawo nastawać na malarza, że z profilu tylko wystawił Napoleona, gdy miał tak blisko, bo zaraz za nosem, całą twarz tak jenialną, podającą mu pole do rozwinienia wyższego talentu? Nie — Wernetowi nawet wyrzucać-by nie można że chciał się drobniejszym zabawić obrazem, kiedy tylko w téj drobnostce piętno swojéj zdolności wycisnął...... Mickiewicz *w Tadeuszu*, zwłaszcza w pierwszym tomie, tak często nieznośnie jest długi, że zdaje się iż nigdy wygadać się nie może, czyni to nawet bez przyczynienia obrazowości i wdzięku, słowem więcéj niż *dormitat*. W poemacie miałby krytyk prawo błąd ten wytknąć, nikt przecież tego nie uczynił. A dla czego? Dla tego jedynie że autor nie nazwał *Tadeusza* poematem, lecz kroniką szlachecką, przez co zyskał prawo do wybajania się *ad libitum*. Jeźli więc nadto

rozszerzać się wolno, wolno téż i ścieśniać się podług upodobania. Może to przytém służyć za przestrogę, że na tytuł dzieła koniecznie spojrzeć potrzeba, bo on jest tym szyldem sklepu kupieckiego, który uprzedza czego w tym sklepie dostanie. Niezważając na ten szyld możnaby przez pomyłkę żądać butów od księgarza a rumbarbarum od galanterników.“

W przypisku do méj recenzyi, wytykając kilka usterek językowych wynurzyłem wątpliwość, czy ustom tak potulnéj i delikatnéj istoty jak Ewunia przystoją tyle twarde słowa: „Pluje na grób ojczyzny kto w jéj smutku skacze,“ zwłaszcza że autor wprzód był umieścił: „Depce po grobie Polski, kto w jéj smutku skacze.“ Od owego czasu zdarzyło mi się słyszeć ludzi wytrawnego smaku utrzymujących przeciwnie, że wyrażenie to jest doskonałém i na swojém miejscu. Tém chętniéj zrzekam się mego zdania, że wiersz ten przeszedł już niejako w przysłowie. Jenerał w swym liście tak na ten zarzut odpowiada:

„Pojmowałbym ten zarzut, gdyby jaki recenzent wykształcony na Doratach i Demutierach przestraszył się tą śmiałością wyrażenia, lecz krytyk *Przeglądu*, który czytał w Dantem o huku puszczonego wiatru z opalonego tyłka szatana, który tyle wyrażeń, mocą swoją aż do dzikości posuniętych, znalazł w Szekspirze, a w Fauście Getego najbrzydsze spotkał wyrazy, choć i Szekspir i Dante tak szczytnym poezyi mówili językiem, aby ten, mówię, krytyk, w niskim *Dworcu*, przez jakąś delikatność i drażliwość, znieść nie mógł *plunięcia* i zrażał się tém naturalném, ciągle używanem i do poezyi wzniesionéem wyrażeniem, nie, — tego pojąć nie mogę. Wszakże ów wypieszczony i wykwintny Delille na sroższy jeszcze wyraz zdobył się w swojéj *Imaginacyi*, bo na publiczném posiedzeniu czytając swój ustęp, — *excrement* powiedział, i to mówiąc o pism odchodzie. Ckliwe nawet wówczas Francuzki uznały moc wyrażenia i śmiałość za zgodną z poezyą, obsypały go oklaskami, a ja za mniejsze niby i mniemane przewinienie odbieram zarzut niesmaku i barbarzyństwa.“

List ten i poczyna się i kończy temi samemi wyrazami: kłóćmy się a kochajmy się. Zajście téż to nie przerwało ani oziębiło naszych stosunków. Co najwięcéj, jeźli zatrzymało je przez kilka miesięcy na tym samym punkcie, i przeszkodziło, ale tylko na krótką porę, coraz szybszemu i serdeczniejszemu rozwijaniu się onych. We dwa czy trzy tygodnie po liście jenerała, byłem na jego imieniny, 2go Kwietnia, w Oporówku i zdrowie jego wzniosłem. Jenerał wnet się udobruchał, i choć po wielu jeszcze latach czynił czasem przytyki do owéj recenzyi, zawsze w żart to obracał, i dobrym humorem dowodził, że urazy żadnéj nie czuje. Wypadek ten jednak nader był mi przykrym. Przekonał mię, że głośność, choćby najdoskonalszéj i najsłuszniejszéj recenzyi, nie warta jest, nie nagrodzi nigdy za jedną chwilkę zachmurzonéj przyjaźni. Niesmak i wstręt, który zawsze miałem do krytykowania, odtąd się stokroć we mnie powiększył. Trudny to wszędzie zawód, trudniejszy u nas niż

gdzieindziéj. Wymuszone pochwały każdy poczytuje za tak przynależne sobie, że na nie bynajmniéj nie zważa, a najdrobniejszą naganę bierze jak najgłębiej do serca. Osobliwie urząd ten najprzykrzejszym jest, gdy przychodzi sądzić przyjaciół, ludzi mniéj więcéj tych samych zasad i opinii. Gdy Whigowie ofiarowali O'Connellowi krzesło najwyższego sędziego w Irlandyi, odmówił je, dając za powód, iż musiałby srożéj sądzić swych rodaków niż zasługują, a to z obawy aby go o stronność nie pomówiono. Moja stanowczość i surowość w tym razie nie przekonała nawet przeciwników. Jeszcze w kilka lat potém *Gazeta Warszawska* drukowała te wyrazy: „Ma *Przegląd* całe szeregi autorów, którym się nigdy słówko „nagany nie dostaje. Tymi wybranymi śród poetów są: Kajetan Koźmian „a obok niego Franciszek jenerał Morawski.“

W téj saméj prawie porze wyszedł w Lipsku poemacik p. t. *Moje sny*. Powszechnie rozeszła się pogłoska mianująca mię autorem. Ztąd to pewnie tak niezmiernie pochlebne zdanie jenerała o tym utworze, którego autorem, jak późniéj utrzymywano, jest Kajetan Sufczyński z Lubelskiego. W tymże więc samym liście jenerał dodaje:

„Cóż to za prześliczne rzeczy w *Moich snach*. Radbym aby to nie było Zygmunta, bobyśmy dwóch Zygmuntów mieli. Ileż to złota poetycznego, jaka wybitność myśli aż do słonecznéj jasności, jakie wiersze nawet. Nie chce się wierzyć prawie, aby autor Psalmów tak się wydoskonalił nagle. Tam wśród cudownych okresów tyle łataniny, gwałtownego kucia, śrubowania, tu taka płynność, naturalność i swoboda w wyrażeniu. Szkoda tylko że znowu fantastyczne. Same gwiazdy, idealne postacie, kwiaty i blaski orjentalne, przelotne cienie, fantazmagoryjne twory i wieczne proroctwa! Pomimo że zachwycam się poematem tego autora, przekładam jednak Mickiewicza, bo on z życia rzeczywistego, z ziemi a nie z obłoków zawsze zbiera kwiat poezyi. Sądzę że narodowa imaginacya w takich tworach zawsze bardziéj lubować będzie.“

Nigdy nie spotkałem autora, poety, który-by więcéj był pochopnym do unoszenia się nad utworami innych. Zazdrości żadnéj, lekceważenia nigdy. Zawsze widział najprzód piękne strony i podnosił, a złe starał się w najpobłażliwszy sposób wytłómaczyć. Jednego tylko Norwida ścierpieć nie mógł.

List z 3go Stycznia 1852 wypisuję prawie cały:

„Niesłychanie dawno już nie przemówiliśmy do siebie, a przecież odtąd całą Francyę na twardy ujęto kaganiec, kozła przewrócił Palmerston, po jednookim Erneście zupełnie ślepy król panuje, i *Goniec* runął, i P. coraz bardziéj dusi. Co do Francyi, wiem że anarchia i groźba społeczeństwu tak były wielkie, że trzeba było nadzwyczajnego przedsięwzięcia, bo salus patriae prima lex esto, wiem i to że takie kroki prawie bez zbrodni obejść się nie mogą, to jest bez złamania wszystkiego, ustaw i przysiąg. Ależ, czemu więcéj czynić niż to, co koniecznie potrzeba? czemu rozstrzeliwać na placu Grenelle pojmanych, gdy oni istniejącego

stanu rzeczy, istniejącego rządu i ustawy bronili? Czemu ta zemsta licha, osobista, na Oudinocie w wymienieniu motiwów, dla których Vaillanta mianował marszałkiem? Rząd nigdy motiwów nie daje. Przestaje na nominowaniu. Zresztą, jakąż ufność może wzbudzać człowiek, którego antecedencyami same awanturnictwa. Gdyby żadnych nie miał antecedencyi, byłoby dla niego lepiéj, bo marzylibyśmy w nim zupełnie nowego człowieka i mogli jakąś łudzić się nadzieją. Nie omami on nią ukazem święcenia niedzieli, i oddaniem kościołowi świątyni paryzkiéj. Pięknie-by to było, gdyby nie przebijał w tém środek polityczny, i gdyby to zgodzić można z zbrodnią. Żałuję bardzo że biskup dyecezyi *Gap* słów takich użył: Bóg z prezydentem! W ogólności byłbym wolał, aby biskupi przyjęli nową władzę bez tych okazów i proklamacyi. Tak czyni arcybiskup Sibour i dobrze czyni. Mimo tylu rewolucyi nie powstawano na kościół we Francyi, szanowano kapłanów, nie kalających się brudem światowych namiętności, wyższych nad ziemskie przemiany. Teraz na nowo rozjątrzą uciszonych. Krzyczeć będą że kościół z despotyzmem się wiąże. Takie to opłakane skutki z tego powstaną. Pojmuję Montalemberta, ale nie pojmuję biskupów, choć z tylu miar, godnych, zacnych i świętych. Czytałem teraz całego prawie Venturę, nowe konferencye Lakordera, Donoza Cortes, i tym podobnych. Czytając takich autorów, zawsze myśl ta mi przychodziła, że jakaś iskra Boskiego światła spuściła się w ich inteligencyę, że bez objawienia wyższego, a więc cudu oczywistego, nie byliby tego skreślili. Przez piszących więc, przez szukających szczerze prawdy, i prawdy tylko, Bóg jeszcze cuda nam swoje zsyła. Dzięki Najwyższemu, cudów tych nigdy prawie nie brakło.

Są cuda, były cuda, i przez wszystkie lata
Tworzyć będą te cuda wielkie mędrce świata.
Ten mocą słowa wskrzesza zmartwiałe już duchy,
Przez tego przejrzał ślepy i przesłyszał głuchy,
Ten świętością swych nauk mnoży chleb z kamienia,
Ten płonną wodę błędu w wino prawdy zmienia,
Ten z nowego Babelu dumę Niemców strąca,
I kłóci ich szwargoty i rozum ich zmąca,
Ten czartów komunizmu w brudne wpędza świnie,
I topi bez litości w ich kałów głębinie,
Ten z trądu Towianizmu chorą Polskę leczy, —
I któż więc jeszcze potém, kto cudom zaprzeczy?

A propos wierszy, mam prośbę do ciebie, abyś mi dwa zrobił, to jest przełożył, którym rady dać niemogę. Są one z oblężenia Koryntu. Nie mam Byrona pod ręką, ale wiem że sens taki: Alp woła na Minottego:

.....i nie walcz daremnie,
Przez miłość córy, przyjm życie odemnie.

A ten odpowiada:

Never, renegado, never,

(Choćby to życie było) for ever (to jest wieczyste).

Oba te wiersze mają mieć po jedenaście zgłosek, a więc nie ciasno dla tłómacza.“

Pod datą 29 Lutego jenerał pisze:

„Kochany nasz Zygmunt boi się dedykacyi *Manfreda*. Nie zmniejsza to jego genjalności i szlachetności, ale trochę nadto tchórzy przez podejrzliwość i zbytek oględności. Nie lęka się pisać ale zresztą lęka wszystkiego, często nawet niepotrzebnie. Jeźli mu z tém spokojniéj i lepiéj, niechże i tak będzie. . . . . Co się tyczy wiersza z *Parchatki*, dziękuję najprzód za troskliwość, a potém i za poprawkę. . . . . List Zygmunta zwracam. Biedny on, biedna Italia, biedny Ojciec śty, najcichszy, jak widzę, z męczenników. Jeźli kogo Bóg wyzwoli, to pewnie Jego, i dla cnót osobistych i dla kościoła swego..... Od twego odjazdu choruję na oczy. Zdaje mi się że list twój i Zygmunta myśl mi rozchmurzyły, wypogodziły niebo, ziemia nawet zazieleniła się nadzieją. Zazdroszczę ci konceptu do komedyjki. Gdybym mógł wpaść na jaki ale drobny, komiczny czy tragiczny, możebym coś nabazgrał.“

Proszono mię abym jaką komedyjkę napisał dla młodzieży, która miała ochotę zabawić się w teatr amatorski w Czerwonéj Wsi. Nie mając do tego chęci ani najmniejszéj zdolności, nalegałem na jenerała aby mię w tém zastąpił. Gdy się nie udało, musiałem sam późniéj jakąś lichotę sfabrykować.

Pod datą 3go Kwietnia pisze:

„Nie czytałem recenzyi, ale czytałem sam *Sen*. Druga połowa i koniec bardzo piękne. Pierwsza połowa może najpiękniejsza lecz ciemna, i ztąd wszystko, co się podoba, widzieć w niéj można. Nie dość jasno przebija świat rzeczywisty z urojonego, wyjąwszy gdy mówi o szpiegach. Nie wiem także co chciał mówić o księżach i kobietach. Po co dusze pewne w nicość obraca wieczną? Prawda że Klopsztok odstąpił od dogmatu w Messyadzie w utworze Abadonny, ale przynajmniéj przez to do szczytności chciał podnieść nieograniczoność dobroci Bozkiéj, i piękny dał nam utwór poetyczny. Tu zaś to odstąpienie od dogmatu nieśmiertelności w niczém się nie przyczyniło do wielkości i wdzięku obrazu. Zawsze przecież nadzwyczajnéj intelligencyi było trzeba aby coś podobnego napisać. Język cudowny. — Czytałem dzieło Ventury, w którém opisuje życie świątobliwéj Rzymianki. Dobra myśl w okazaniu że nawet zwyczajną drogą pobożności, pokory i wiary, bez heroizmu, można się zbawić.“

„*Parchatka* jakąś mi lepszą wydaje się po jéj wytłoczeniu niż w rękopiśmie. Co się tyczy powieści o Brodzińskim, — choć nigdy nie stałem garnizonem w Piotrkowie, i zdarzenia objętego w powieści nie było, przecież sądzę że wolność wysnowania powieści, choćby z urojenia tylko poczętéj, nie należałoby o fałsz gromić, zwłaszcza gdy żadnéj sławie uszczerbku nie przyniosła. Tak mało mamy powieści, że choćby słusznym zarzutem nieprawdy nie należałoby odstręczać w tym rodzaju pi-

szących. *Mogło się to stać*, a więc podług mego zdania, mógł poeta sobie pozwolić.“

Był to rok pierwszych missyi jezuickich w Poznańskiém. Zaczęły się od Krobi. Odprawiono je następnie w Krzywiniu, Kościanie, Niechanowie. Jenerał był na missyach w Krobi i Krzywiniu. Unosił się nad wymową O. Antoniewicza. W liście z 11 Maja tak mówi o missyi krobskiéj:

„Wracamy z missyi krobskiéj, gdzie przez ostatnie dnie było ciągle 25,000 ludzi. Nie tylko błogie ale nadzwyczajne było wrażenie. Szkoda że bierzmowania na inny czas nie odłożono, bo dwa cele, zamiast jednego, rozpraszały uwagę, jedno niejako drugiemu przeszkadzało. Księży było ciągle przeszło 40stu, wszyscy gorliwie pomagali. Sądzę, że odniosą przekonanie, że aby czynić wrażenie z kazalnic, tak jak na missyach trzeba przemawiać do serc, a nie na kilku moralnościach, słowami pisma św. okraszonych, przestawać. U nas nabożeństwa, uroczystości, zawsze były godne i przyzwoite, lecz z kazalnic uboga tylko suchość spływała, gdy przemowy kaznodziejskie jedynie wstrząsnąć dusze ospałe i skibę grubą grzechu odwalić mogą. Uważałem nieraz że im lepsze kazania w jakim kościele, tém i parafie lepsze. Daj Boże, aby to się zmieniło choć w części. Po lepszych kazaniach będą i lepsze spowiedzie, a po lepszych spowiedziach i życie lepsze.“

W liście z 21go Września jenerał pisze do mnie:

„Odyniec ładny wiersz do stryja waszego napisał, ale nie oparty na prawdzie. Myśl fałszywa, bo wiemy że duch z starością upada i musi ulegać wpływowi słabiejącego ciała. Rzadkie są bardzo przeciwne przykłady, do wyjątków więc tylko należą. Można mieć nieprzełomne principia, ale charakter, moc duszy, tracą na swojéj jędrności. Najlepiéj wystawił tę prawdę Bronikowski, kreśląc złamanego wiekiem, nieszczęściem i więzieniem Glińskiego. Pamiętam, że obraz ten wielkie na mnie uczynił wrażenie, jako na nagiéj oparty prawdzie. Po co wmawiać w ludzi większą siłę, niż jéj mieć mogą, po co łudzić kłamstwem?“

„Mógłbym lub Xenie lub jaką bajkę posłać, ale lękam się nareście aby widząc zawsze moje wiersze nie sądzili czytelnicy *Przeglądu* żeście mi jednemu prawie przyznali przywiléj świecenia w piśmie waszém. Chcecie, prześlę, ale i nie bez obawy, i nie bez przekonania że miernością was częstuję. W ambaras tylko-bym was wprowadził, bo nie wiedzielibyście co robić z starym jenerałem, którego ramot przyjąć-by nie wypadało. Mamy w Xięztwie poetów znakomitych, jakimi są: Konstanty Zakrzewski, Berwiński, Zmorski, Lenartowicz, czemuż do nich nie zastukać, nie otworzyć im pola do popisu. Czytelnik i pismo zyskałoby na rozmaitości talentów. Czemuż od stryja czego nie zasięgnąć, od Wężyka, od znajomych z królestwa, od Pola? Piasczystą to i głuchą Saharą co do poezyi jest to nasze Xięztwo, żadnego echa, żadnéj woni prócz kwiatu kartoflanego. Kobiety nawet bardzo rzadko posiadają coś podobnego do zmysłu poetycznego, zresztą żadnéj znajomości sztuki. Aby u nas poezya

zajęła, trzebaby kogoś wady wytknąć, lub uszczypnąć Niemców, lub jakiś ideał niepojęty wyroić, któryby tém bardziéj podziwiano, imby mniéj go zrozumiano. Xięztwo jest prawdziwym czyścem dla poety, gdzie nie ogniem lecz lodem dokuczają duszy gorącéj lub wzniosłéj. Czujesz to sam dobrze, ale nie śmiesz tak śmiało powiedzieć jak stary gderacz. . . . . Nie zgadzam się na to co w ostatnim numerze powiedzieliście o obywatelach Xięztwa, że odjechali w czasie cholery. Jeżeli to było wyjątkiem, więcéj powinno było być miejsca dla pochwały niż nagany, a jest przeciwnie. Wreście, z góry potępiać odjeżdżających wszystkich nie należało, bo to od indywidualności, od stosunków różnych zawisło, wreście w troskliwe matek serca zajrzeć-by potrzeba. Mogą być istotne powody, a jeźli wtenczas urządzi się wszystko, lekarz ciągły, apteka domowo, służba dla chorych, i zostawi się dozór zupełnie zastępujący i potrzebną sumę na wydatki, zwłaszcza parę koni dla posłania zawsze po księdza, nie widzę czemu koniecznie narażać dzieci na śmierć, lub okropne sieroctwo? Byłoby to szukać jakiéjś glorioli w męztwie zmuszoném, umrzeć niepotrzebnie, zostać męczennikiem bez zasługi, bo bez rozsądku i roztropności. Mniemam że dowodzę miłości bliźniego kiedy proszę o pobłażanie dla niego. O. Antoniewicz nawet ks. Markiewicza dla zbytku trwogi indywidualnéj nie chciał posłać do nawiedzenia cholerycznych. — Ciekawy jestem Zmorskiego Frithiofa. Tęgi to musi być łepak, kiedy tak prędko nauczył się po szwedzku. . . . .«

Jenerał dwa lub trzy razy do roku zwykł był objeżdżać swych przyjaciół. Miał on swój własny pojeździk i swoje konie, o które dbał niesłychanie. Zobaczymy późniéj jak kochał swoją *wilczatę.* Tysiąc pociech było z nim podróżować. Żadnego chłopa nie spotkał, żeby mu jakiego konceptu nie powiedział. Na kilka staj od jakiéj wsi, przez którą może tysiąc razy przejeżdżał, zawsze pytał spotkanego: a jak jeszcze daleko? Gdy żebraka zoczył, kazał stawać, i wydobywając z kieski pieniądze dla niego, badał go, wypytywał o okolicę i żegnał pocieszném słowem. Z całéj téż okolicy znali go żebracy, i tłumami do Luboni się ściągali. Kiedy był w Piotrowicach, napisał dla jednego dziada owe wiersze, umieszczone w Pokłosiu z 1856, które się kończą zwrotką;

A więc dajcież, dajcie, proszę,
Kawał chleba lub trzy grosze,
Dla biednego dziadka.

Piosnki téj wyuczył go i pono dziadkowi wiele kawałków chleba i trojaków do torby napędził..... Pamiętam, że mi raz opowiadał, jak i kiedy odkrył w sobie zdolność do wierszy. Wiadomo bowiem, że najprzód kształcił się na prawnika. „Oto, mówił mi, mój zawód poetyczny od tych czterech wierszy się począł:

Na złą Basię.

Że kobieta z kości swój początek bierze,
Mocno temu wierzę,

Bo i Basia swoją złością,
Stanęła mi w gardle kością.

Wiersze te się wszystkim podobały, powtarzano je sobie na wyścigi, i ztąd pierwszy popęd do rymów. Bez nich możebyśmy nie mieli jednego z najdowcipniejszych bajkopisarzy.

Jenerał zawsze się jak najgoręciéj zajmował wszelkiemi wypadkami z naszą sprawą połączonemi. Żywo też obchodziły go rozprawy na sejmie berlińskim, ilekroć dotykały stosunków Wielkopolski. Pragnął, aby obywatele nie uchylali się od ciężkiego obowiązku posłowania. Ztąd gdy w listopadzie 1852 r. podano bratanka jego Józefa na kandydata w Ostrowie, tak do niego pisał:

„Był czas, w którym mi mówiłeś: „Szczęśliwy czas waszego pokolenia, boście przynajmniéj mogli coś zrobić dla kraju, i wspomnieniem dawnych choć bezkorzystnych zasług uzacnić waszą starość.“ Otóż teraz przez wybor ostrowski nadarza ci się podobna pora. Nie wymawiaj się więc. Przyjm urząd deputowanego. Zdolności twoje, obywatelski obowiązek, rzecz religii, która jest w niebezpieczeństwie, wymagają tego po tobie. Winieneś coś nakoniec i imieniowi naszemu. Wiem, że niedogodność ztąd w domu i przykrości w Berlinie cię czekają, lecz inni przemogli te zawady, miałżebyś ty jeden zważać na nie? Nie idzie tu o mowy, lecz o dyskusye w komissyach, o ścisłość i jedność w zdaniu grona polskiego, możesz się wiele przyczynić do rozjaśnienia jednych, utrzymania drugich. Wszyscy przyznają ci podobne zalety, a moc charakteru i prawość duszy ułatwią ci drogę. Prawda że trzeba wiele miary i cierpliwości i zręczności nawet, lecz czemuż i tych nie dostawać-by ci miało? Skorym zawsze byłeś do poświęceń siebie, gorącym w sprawach kraju i religii. Nie cofaj więc nogi, rzuć się w nowy zawód, przyjm, ruszaj do Berlina, i uciesz starego stryja, który cię zawsze kochał i cenił, i więcéj w tobie widział, niż ty sam w sobie. Wczoraj z twoim teściem mówiłem. Nie wątpi że przyjmiesz. Pozwól mi pewność jego podzielić.“

Pod datą 23 Lutego 1853 jenerał pisze:

„Czytałem pierwszy raz dzisiaj *Krucyutę* Deotymy i dość się wydziwić jéj nie mogłem, i prostocie wielkiego pomysłu, i wadze wiersza, i téj budowie i całości harmonicznéj, któréj dotąd w żadnym jéj utworze nie widziałem. Posyłam ci wiersz jéj do Zygmunta napisany, nie improwizowany. Mały to obrazek, ale ileż to myśli, ile poezyi, jaka jasność, wdzięk wyrażeń i poprawność. Strofa o Chopinie prześliczna, zwłaszcza wiersz ostatni. Brak jednego wyrazu, może to ma być *prorokiem*, może co innego. Proszą aby nie drukować co cenzury warszawskiéj nie przeszło. Saméj to autorki proźba. Wiele mi o jéj nadzwyczajnéj skromności powiadano i pobożności, lecz zarazem o jakiéjś niepojętéj potrzebie wylewania poezyi, zda się że padnie trupem jeźli nie wybuchnie na zewnątrz. Nie, nie gnębić krytyką, ale kierować trzeba tym bozkim płomieniem, i przyznać że najrzadszém, nadzwyczajném jest zjawiskiem. Na naszéj ziemi, w naszéj boleści polskiéj, schroniła się wygnana z świata poezya,

i w niéj uosobiła. Czemuż się w Polsce zjawiła, czemu Bóg tém nowem życiem ożywia jéj prochy. Czemu gdzieindziéj, gdzie więcéj swobody mówienia, wolności w życiu, rozumu i imaginacyi narodowéj, czemu nic tam podobnego? Czemu znów przez słabą dziewicę, czemu przez Słowiankę Bóg tak widocznie się odzywa? Zimny rozum tego nie rozstrzygnie.«

W liście z 8go Kwietnia pisze:

„Czy czytałeś nowy utwór Deotymy, natchniony obrazem Schaeffera? Posyłam go. Pierwsza część niema sensu, lecz w tym bezsensie jest ten dobry sens, że całéj potęgi miłości, w wiecznych nawet kar siedlisku nie zgasłéj, autorka pojąć nie mogła. Druga część, mimo kilku wyrażeń piękna. *Przeglądu* dotąd poczta Poniecka nie daje, i ztąd nie znam jeszcze artykułu o Deotymie. Znajduje go wielu słusznym, wszyscy umiarkowanym. *Manfred* jeszcze drugiego nie dostarczył arkusza. Skończywszy jego poprawę, poprawiam ostatecznie Mazeppę. A czy wiesz co u mnie ostateczną poprawą się zowie? Oto nameczywszy się w przekładzie samym nad wiernością, odjąć tłómaczeniu nakoniec ten przymus, który z chęci wierności pochodzi, a językowi polskiemu naturalny bieg jego odbiera. To u mnie jest ostatnią ręką. Może mylę się, ale zawsze styl na lotności zyska, będzie prawdziwie polskim. Będę może mniéj wiernym oryginałowi, ale wierniejszym mowie rodzinnéj, i pierwotwór na tém nie straci. Pozwól się spytać o radę. Kiedy Mazeppa na wpoł umarły przepływa rzekę, mówi w oryginale:

Czuję żem ożył, że silniejszy jestem,
Zimnym wód rzecznych orzeźwiony chrzestem.

Otóż pytam czy można powiedzieć *chrzestem* czy téż *chrztem*? Słyszałem dawniéj utrzymujących, że jak się mówi czci i cześci, tak i tu oba wyrazenia są dobre. Jakież twe zdanie? Jeśli trzeba zmienić, to zmienię, ale ujmę może siły:

Czuję żem ożył, i że zgasłe siły
Zimnym wód rzecznych chrztem się orzeźwiły.

Po Mazepie przyjdą zapytania o niektóre wyrażenia z *Oblężenia Koryntu*, na które zawczasu zamawiam sobie odpowiedź..... Zresztą nic nowego. Spowiedzi nawet wielkanocne skończyły się i żadnego nowego grzeszku nie powiedzą. Każdy się niby poprawił lecz na jak długo? Cóż znaczy to mniemane zwycięztwo nad sobą?

Jeśli wczoraj z żądzą w boju,
Zwyciężyć ci się udało,
Możesz dzisiaj żyć w pokoju,
I na jutro liczyć śmiało.
Lecz co późniéj ciebie czeka,
Co pojutrze już wypadnie,
Tego, przy głupstwie człowieka,
Sam djabeł nawet nie zgadnie.

Przepraszam za stary nałóg wierszowania niepotrzebnego, a coraz gorszego. Stryj teraz wciąż epigramata kreśli. Dziwna rzecz! przy ta-

kiéj słodyczy charakteru przez całe życie, na schyłku tak się rozjada na głupie lubelskie wiersze.«

Napisałem był pod ówczas obszerny artykuł o Deotymie. Zaklinałem aby zaprzestała improwizować a czerpała więcéj z serca niż z encyklopedyi. Jak zwykle bywa, obrazili się tém jéj bezwzględni wielbiciele. Podejrzywano mię o zawiść, wyrzekano na srogość *Przeglądu*, na niepojmowanie ducha narodu i niedociąganie do jego szczytności. Jeden tylko Zygmunt Kaczkowski w pochwalnym artykule o Deotymie (1854) oddał mi słuszność mówiąc: „Obowiązek ten (umiarkowania) w sprawie młodéj „poetki pojęły dobrze mniéj więcéj wszystkie dzienniki warszawskie, nie„wykroczyły przeciw niemu i inne, a jedno z pism poznańskich tak mi„strzowską ręką poprowadziło swój wyborny o Deotymie artykuł, że je„źli jego rozważne pochwały przenoszą wartością swoją wszystkie zachwyty „i uniesienia, to jego zarzuty, celujące gruntownością treści i słodyczą „wymowy, powinny się stać wzorem dla wszystkich krytyków i literackich „szermierzy.« Sypały się do nas wszystkiemi drogami wiersze płodnéj wieszczki. Ona sama, jakby w dowód że nie czuje urazy, ale owszem wdzięczną jest za artykuł *Przeglądu*, przysyłała nam do druku celniejsze swe utwory. Andrzéj nie tylko jéj improwizacyami nas udarzał w każdym liście, ale i swoje do niéj wiersze przyłączał. O jednym to z tych ostatnich (zapewne *Ecce Deus*, *Ecce Homo*, drukowany w *Przeglądzie*), jenerał pisze do mnie w tych czasach:

„Przesyłam ci *Magnum Opus* Jędrusia i przedziwne epigrama jego ojca. Co do Jędrusia wierszy, lepsze są niż wszystkie, które dotąd wylał, myśl dobra, wzniosła, — powiesz zapewne, że to czystéj tylko myśli płodem, a serce mało utworzyło, i ztąd nie dostaje czegoś téj poezyi, zawsze przecież piękne, niepospolite i z wielu względów trafne.«

W liście z 15 Maja tak pisze:

„Ostatni raz już nudzę cię prośbą o radę. Poprawiam ostatecznie *Paryzynę*, która dla nadzwyczajnie delikatnych odcieni, więcéj trudności mi zadawała, a przytém pierwszym moim przekładem była z Byrona. Kiedym więziony pod uralskiemi górami nie mógł w pierwszym roku otrzymać, wymodlić sobie żadnéj książki do czytania, ani jej sprowadzić sobie, ratując się w tak nieznośném położeniu, *z pamięci* zacząłem przekładać *Paryzynę* i jak mogłem przełożyłem, częściami dobrze, częściami mniéj wiernie. Chcąc późniéj po otrzymanéj już wolności przekład ten do należnéj przywrócić wierności, czyniłem co mogłem, ale zawsze ślad widoczny pierwotnéj niewierności został, i nigdy zupełnie zatrzeć się niedał. Niepodobna już prawie zaradzić temu zupełnie, a szkoda byłoby tak uroczy kwiat byronowskiéj poezyi wyrzucać ze zbioru mego, zwłaszcza że są miejsca silnie bardzo oddane, przeto proszę zwrócić uwagę choć na kilka wierszy, które mię najbardziéj trapią.... Idzie mi o to aby z małą obrazą wierności, jasno i gładko było po polsku. Wierność czasami, nie koniecznie potrzebną będąc, w gimnastyczną tylko zmienia się walkę, kiedy na to przedewszystkiém zważać-by

wypadało, że się dla Polaków ich językiem pisze. Aby tylko obrazowi nadać jego wybitność, i wyssać z niego tyle ile możności poezyi, i styl oryginału naśladować, dość jest podług mnie. Można coś dodać lub ująć lecz zawsze w duchu oryginału, nie zważać na szczegóły drobniejsze, często tylko dla rymu położone, śmiało tłomaczyć jak poeta, a nie jak kopista, służalec niewolniczy, nie dagerotypować lecz kunsztownie naśladować, to zawsze miałem na myśli w moich przekładach. Może nie słusznie, może téż słusznie, bo zgodnie z naturą moich zdolności. Oto jest moje wyznanie wiary. Podług tego chcę być sądzonym..... Na dziś tyle, zostaje jeszcze kilkanaście wierszy mniéj dobrych, lecz z temi sam się męczyć będę. Posyłam tylko te, których zwalczyć nie mogę. Proszę mi pomódz po przyjacielsku, zwłaszcza w owych czterech, które mię najwięcéj trwogi nabawiają. Święta prawda o Olizarowskim, ale jakże wykręcałeś się na wszystkie strony. Zgadzam się na krytykę, ale nie zgadzam na maxymę, że przyjaciela surowiéj sądzić trzeba. Czemu nie wszystkich z równą sprawiedliwością? Obstaję przytém, bo przed rozbiorem moich przekładów, wypadałoby się pierwéj pokłócić z tobą, a ja wolę cię uścisnąć i kochać jak zawsze.“

Po wymianie kilku listów, zgodziliśmy się łatwo na wszystkie poprawki, prócz jednéj, w któréj właśnie znajdują się owe cztere wiersze, co tak tłómacza turbowały. Jenerał wydrukował (Paryzyna str. 207):

Ach! wczoraj jeszcze błękit żyłek drobnych
Krążył po śniegu tych powiek nadobnych,
A które były tak miłéj białości,
Że się zdawały wzywać ust miłości, —
Dziś tak palące, zżołkłe i zwiędniałe,
Nie tyle słonią ile cisną oczy,
Których spojrzenie łzami ociężałe,
Coraz się bardziéj tłumem łez tych mroczy.

Ja zaś, zgodniéj z oryginałem, i jak myślę silniejszy, choć może nie tak jasny, następujący proponowałem przekład:

Ach! wczoraj jeszcze błękit żyłek drobnych,
Krążył po śniegu tych powiek nadobnych,
Świecąc przez białość tak blaskiem przejętą,
Że usta ciągłą wabiła ponętą, —
Dziś spiekłe, w zwiędłéj bladości zamroczu,
Zdają się cisnąć — nie osłaniać oczu,
Ktorych spojrzenie w bezprzerwnych łez tłumie,
Ni już zabłysnąć ni wznieść się nie umie.

W lipcu wyszły Przekłady z Byrona. Jenerał pisze 26go lipca:

„Posyłam ci jako pamiątkę exemplarz polskiego Byrona. Może uznasz, że przekład takiéj masy poezyi nie jest bez przysługi dla polskiéj literatury, bo jéj doda nowéj siły i jędrności, i wyrwie ją z tego rozpajęczenia się w fantazyjnéj sferze, i mazgajnego rozdrobnienia się

pewnych panów, których tu nie wymieniam. Jeźli nie zabiją *Przeglądu*, może wspomni o téj pracy, i może łaskawiéj, jak o *Dworcu*. Jakkolwiek bądź, miło mi zawsze pomyśleć, że ten exemplarz przypomni czasami *obu Koźmianom* prawdziwego przyjaciela i ich rodu i ich osób w szczególności. — Na początku Sierpnia jedziem do Salzbrunn a potém do morza.«

Gdy jenerał wrócił z Salzbrunn we Wrześniu, pośpieszyłem do niego. Była to na długie lata ostatnia jasna, pogodna dla Luboni chwila. Urocze to było kółko, poważny dziadek, czynny ojciec, czuła matka i dwoje lubych dziatek. Jeźli kiedy o te ostatnie była między rodzicami sprzeczka, a raczéj prześciganie się w troskliwości, jenerał perswadował, godził, zgoła jak niegdyś między romantykami i klasykami pośrednie, rozjemcze zajmował miejsce. Codzień bywaliśmy w Oporowie, codzień Oporów bywał dla nas w Luboni. Pan referendarz, lubo osłabiony, zawsze gotów do dyskussyi a nawet i do szermierki na dowcip z jenerałem, nie wydawał się jeszcze w niczém że w 3 czy 4 tygodnie potém miał umrzeć. Nigdy niewidziałem człowieka tak miłego, tak ochoczego i niewyczerpanego w rozmowie. Czas był teraz bardzo piękny. Chodziliśmy wiele po ogrodzie. Referendarz, który gospodarując tyle lat w Luboni w czasie nieobecności jenerała, doskonale urządził mu gospodarstwo i serdecznie przywiązał się do niéj,' cieszył się każdém drzewkiem co zasadził, pokazywał nam ścieżki, które kazał porobić, mostki, które kazał wystawić. Z tego ostatniego powodu, opowiadano mi zabawną anegdotę. Był w Luboni ogrodnik Kasper Sawicki. Raz referendarz, którego on zwał eferendarzem, chodząc z jenerałem po ogrodzie, wskazał Sawickiemu gdzieby jeszcze warto mostek postawić. Jeźli mi dwa tu piękne mostki postawisz, rzekł mu, dam ci dwa garnce wódki. Skoro tylko referendarz odjechał, jenerał natychmiast zajął się zbudowaniem mostków, a gdy te ukończone zostały, napisał następujący list Sawickiemu, kazał mu listkiem topoli zapieczętować i wręczyć osobiście dziedzicowi Oporowa:

Jaśnie Wielmożnemu Eferendarzowi w Oporowie.

Chociaż jak prosty Kasper rydlem tylko władam,
Z samą tylko pietruszką i cybulą gadam,
Choć nigdy w Kantów, Heglów, nie wciskam się grono,
I tak u mnie w ogrodzie jak w głowie zielono,
Przecież, żem nieraz w życiu godnie się wyraził;
A jakiś tam Mickiewicz[1]) po wyspie mi łaził,
Więc śmiało do wyższego dziś się wznosząc szumu,
Jakby rychlik kartofel puszczam kieł rozumu,

---

[1]) W 1831 r. Mickiewicz przebywał w Kopaszewie, gdzie się znał z Konstancyą z Bojanowskich Łubieńską, później Wodpolową. Był także i u referendarza w Luboni.

Korzeniem bujnéj myśli głębiéj ziemię chwytam,
Krzewię się w liść dowcipu i wierszem zakwitam.
Exegi monumentum! — postawiłem mosty,
Jeden z nich wprawdzie krzywy, ale drugi prosty;
Z słuszną dumą ogłaszam je wśród moich wierszy,
Jam je zaczął, jam skończył, i jam przeszedł pierwszy.
Mogą teraz iść po tym budowlanym cudzie,
Żydzi, Niemcy, a nawet i prawdziwi ludzie,
Mogą stąpać jak gdyby przez warowne mury,
Wszystkie tuczne, brzuchate i bycze figury.
Panny po nich stopkami przemkną się lekkiemi,
Polak szturmem przepędzi wrogów swojéj ziemi,
Żebraka — opatrzności przeprowadzi ramie,
A Moskal jakby niedźwiedź zleci i kark złamie.
Takie to dzieło wzniosłem w wiekopomne czasy,
I wprzód rzodkiew dębowe poprzerasta lasy,
Wprzód na wdzięczny głos dudy skakać będą dynie,
Zacny nawet pasternak z rzędu roślin zginie,
Wprzód się wszystko pod ręką przewróci wszechwładną,
Nim pamięć o mnie zwiędnie i mosty te padną.
Ztąd biorąc słuszny assumpt z tak wzniosłéj pobudki,
Upraszam o dwa garnce przyrzeczonéj wódki,
Słodki dla żonki, a dla kretów asper,
Sawicki Kasper.
Dan pod gruszką małgorzatką.
W dniu pełcia cebuli, w roku wielkiéj suszy.

. . . .

W liście z 23go Listopada jenerał pisze mi:

„Sądząc że potrzebujesz nagrobku X. Antoniewicza dla umieszczenia go w artykule jakim, uwiadamiającym o tym obrzędzie odbytym w Obrze, posyłam go. Chciałem go cofnąć, boście go obadwa niedostatecznym uznawali, ale Czerwona Wieś się uparła i wyryć kazała. Nagrobek jest taki:

Z krzyżem w ręku nad polskim górujący ludem,
Starłeś go i podniosłeś słowa twego cudem.
Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą,
Dla niegoś żył jedynie, i dlań padł ofiarą.
Dziś cię szuka w twym grobie, przez łzy widzi w niebie,
I modląc się za tobą modli i przez ciebie.

Ostatni pono wiersz zdawał się wam mniéj logiczny, mnie zaś z tego względu dobry i poetyczny, że jest naturalném następstwem poprzedniego. Lud w niepewności ziemskiéj żałości szuka go raz w grobie, drugi raz w niebie, i ztąd modli się za nim, i modli przez niego. Właśnie ten szukający go żal stanowi całą poezyę. Szkoda żeś nie próbował także

ułożyć nagrobku dla zmarłego. Nie o to szło mi niezawodnie, aby mój był umieszczony, lecz więcéj godny jego poświęcenia i zgonu..... Nic dotąd od Jędrzeja, czekam, ledwie oczu nie wypatrzę, ręce mi się do uścisku wydłużają, serce się wyrywa, usta chcą witającą przemówić radością, wszystko nadaremnie. Urodził się, jak to mawiano, w sam dzień śgo Bałamuta..... List po liście leci z Luboni do ciebie. Proszę w tém widzieć dążenie serc naszych.«

Nagrobek, o którym tu mowa, został postawiony w Obrze, staraniem i głównie kosztem p. Stanisława Chłapowskiego z Czerwonéj Wsi, 14 Listopada, jako w rocznicę śmierci O. Antoniewicza. Pod popiersiem z kararyjskiego marmuru znajduje się na wielkiéj tablicy marmurowéj napis powyższy. Myśmy bynajmniéj nic nie mieli przeciw tak pięknemu napisowi, tylko przeciw ostatniemu wierszowi w wersyi poprzednio przez jenerała ułożonéj. Wiersz ten brzmiał:

I modląc się za tobą, modli i *do* ciebie.

Otóż zdawało się nam że byłoby zbyt śmiałem tak wcześnie kanonizować choćby i najświętszego kapłana.

. . . .

W 1855 r. niezmiernie zajmowały jenerała wypadki wojenne na wschodzie, tudzież rozprawy na sejmie berlińskim, którego członkiem był jego bratanek Józef. Oto co do niego pisał w dniu 19 Marca:

„Zdolności, wybór obywateli, potrzeba szerszego życia powołały cię do Berlina, gdzie tak godnie z obowiązku twego się uiszczasz, a umiesz zarazem żyć sercem i duszą w kole domowém, gdzie, jak to mój Manfred powiada, „kłócą się wzniosłe myśli z nizkiemi potrzeby,« boć do tylu klęsk dawnych, dołożono ci w całéj pełności i tegoroczną, a ty znosisz to, przyjmujesz z pokorą, nie opuszczasz rąk, działasz. Pamiętasz na to najbardziéj chrześciańskie przysłowie; Aide toi, le ciel t'aidera, w którém jest zarazem i wiara i czyn. Niechże ci Bóg tak błogosławi, jak ja ośmielam cię błogosławić, błogosławi na żonie, dzieciach i wszystkiém. Niech doda wyższéj siły!

Śmiałem się tu z dyskussyi czy *Oberhaus* czy *Herrenhaus* przyjąć. Przypomniało mi to nocnych stróży z Krasickiego bajki:

I oto się kłócili przez lat kilkanaście,
Jan wołał gaście ogień, Jędrzéj ogień gaście.

Radbym cię słyszał mówiącego o obecnym stanie świata. Dla mnie coś tajemniczego mają ta niewidoma siła, która pcha naprzód Ludwika Napoleona, ta wiara w coś nieodgadnionego, i ten spokojny zgon Mikołaja, obarczonego tylu krzywdami jego ofiar, łzami tylu sierót, brzękiem kajdan tylu milionów. Wielkie czasy to prawda, lecz ludzie jak w 48 za mali na takie zdarzenia, zwłaszcza w wojennym zawodzie. Z obu stron same mierności. Nie tak wielki jestem strategik, a przecież w swoim czasie wskazałem Stasiowi na mapie wszystkie błędy, które wówczas popełniono tak w bitwach jak i w oblężeniu. Odgadłem je bo były zbyt

widoczne. Canrobert jest to po prostu Skrzynecki nasz. Mężny, nie bez talentu, ale w ciaśniejszym zakresie. Raglan stary. Bosquet zda się mieć najwięcéj życia, najzdolniejszy, błyskawicznego postanowienia. Czém więcéj być może? niewiadomo. Omer Pasza genjalnie prawdziwie odgadł ważność Kalafatu, w innych wypadkach był zwyczajnym. W skórę od Moskali dostanie, jeźli bez Francuzów na czystém polu bój wyda. Dziwna to wojna, niepodobna do żadnéj. Pokryli się wszyscy w swoich dziurach i okopani siedzą. Oblężony Sebastopol, oblężeni oblegający, oblężona Eupatoria! Gdyby przynajmniéj od Bałakławy korpus oddzielnie grożący raz odparto na dobre, ale i tego nie. W Marcu jeszcze musi być coś ważnego, bo rzeczy nadto daleko zaszły. Nie pojmuję możności zgody na konferencyach. Pokój trudniejszy jak za Mikołaja, bo koncessye przez nowego cara zrobione położonoby na karb słabości jego charakteru, i całe sparaliżowałyby jego panowanie. Musi się jeszcze wprzód lać krew szeroko.«

Z listu z 16 Listopada 1855:

„Zgodnie z życzeniem twojém posyłam ci poema Niemczewicza *Puławy*. Żona moja, 8 lat mając, przepisała je. Wiele więc błędów zrobiła, które łatwo sprostować. Zaniedbany wiersz autora zyska na poprawie. Opis zatrudnień Księżnéj, stołu niegodziwego, obraz marszałka Potockiego w Klimontowicach, celują, ile pomnę, w tym poemacie. Warto je całe przeczytać. Nie wiem o drugim jego rękopiśmie. Żaden z niego wyjątek nie był drukowany.«

Pamiętną jest dzielna mowa Józefa Morawskiego na jedném z posiedzeń sejmu berlińskiego w początkach 1866 r. Rozradowała ona jenerała. Natychmiast więc napisał do Józefa te słowa:

„Gdy okręt Le Vangeur tonął w walce na morzu, jeden z bohatyrów jego załogi porwał trzykolorową chorągiew i rozwinął ją nad okrętem już grążącym w przepaść. Twoja mowa jest tą chorągwią, a ostatni na pokładzie stojący był Morawski! Dzięki ci więc imieniem całéj rodziny. Nie pomoże to wiele ale przynajmniéj dowiedzie życia niezgasłego, przypomni prawa nasze, rozświeci całą szkaradę przemocy. Zręcznie się wśliznąłeś na trybunę, podchwyciwszy jeden wyraz ministeryalny *Nationalitäten*. Pięciu was tylko było, a przecież choć chwilowy lecz głośny otrzymał się tryumf. — Przeczytałem mowę tylokrotnie, żem się prawie jéj nauczył. Piękna, bardzo piękna. Pozostawia silne wrażenie jak każda rzecz na prawdzie oparta a wzbita wymową. Nie mogło być inaczéj i nie było téż. Przebrzmiała w izbie poselskiéj, ale brzmi w sercu ziomków, parzy jak piekło germańskie sumienie. Historya ją przypomni a syny twoje ją odziedziczą jak świetną po ojcu puściznę. Argumenta naprzód, wymowa dopiero po nich, tak jest w twéj mowie, i tak w każdéj być powinno. Powtarzania się nawet niektóre nie są bez wdzięku, bo dowodem są istotnéj improwizacyi. Szkoda żeś nie miał czasu rozwinąć téj myśli, że Bogu za każde słowo powiedziane w izbie jesteś odpowiedzialny. Dziękuję ci więc za rozkosz, którą mi sprawiłeś, za chlubę

imieniu przydaną kochającéj i ceniącéj cię rodziny, dziękuję za pociechę skołatanéj nieszczęściami duszy, i lat już mnogich.“

W liście z 4go Lutego 1857 r. pisze mi:

„Życzyłbyś mieć wyjątki z wiersza *Poeta w Górach*, ale od czasu twego odjazdu chorując ciągle, nie mogłem poprawy żadnéj przedsiewziąść, a tak dawać niepodobna. *Burza* już więcéj niż na wpół obiecana była *Dodatkowi do Czasu*, a bez niéj możebyś reszty sobie nie życzył. Mimo tego, com wyraził w poprzednim liście przez bojaźń jedynie przywłaszczania sobie wyłącznego w *Przeglądzie* zaszczytu mieszczenia moich w nim wierszy, oświadczam że zawsze jestem gotów do wszelkiéj usługi pismu najlepszemu peryodycznemu, jakie mamy i mieliśmy kiedykolwiek. Co się tyczy *Lipska* i *Hanau*, nie odmawiam, ale w Galicyi tyle żyje jeszcze Krukowieckich, w królestwie nawet wielu podkomendnych jego, a człowiek, o którym tam mówię, w tak złem przedstawiony jest świetle, że życzyłbym ile możności publikowanie téj rzeczy opóźnić. Rozważ moje powdy i zawyrokuj sam. Przybyły 3 bajki, zapewne wiele nie warte. Nie mogąc czytać, marzyłem i skleciłem takowe. Z tytułów przynajmniéj są ciekawe: *Szyna żelaza*, *Żyd i osieł*, *Swinia i chmura*. Nie tęgie, ale jak to mówisz o moich bajkach: „Jest w każdéj coś dobrego, tak iż żadna złą być nie może.“ Widzisz jak sobie twe słowa zachowuję.“

W liście zaś z 15go Lutego mówi:

„Oddam *Góry* całe *Przeglądowi*, ale ani myśl abym jedną całość skleił. Niech tam kto chce domyśla się mego planu. Mądry kto znajdzie czego sam nie miałem. Pisałem na los szczęścia że się tam plan ułoży, z łatwością bowiem w takich składa się tworach. W wyjątkach więc prześlę a zrobisz z tém co zechcesz. Proszę tylko napisz kiedy ma być przesłane, bo anim mógł zajrzeć do téj ramoty dawnéj. Trzeci raz jeszcze wraca choroba. Przed listem twoim znowu oczy bolały i podagra ku sercu sięgnęła. Trzeba mi więc pozwolić odetchnienia nim do poprawy przystąpię. Najlepiéj się to robi gdy ostatnia nagli godzina. Wiedząc o terminie, spieszyć się będę. W skutku lekarstw, a zwłaszcza głodu, lepiéj jestem nieco. Szklanka kleiku na cały dzień. Klejkowato téż wyglądam, list mój się przecież ledwie że klei. Za pięć dni mam awansować do rosołu. Bardzo pięknie i grzecznie odpisała *Orla* Działyńskiemu. Cieszy mię przykład takiéj polemiki, trzebaby na to zwrócić uwagę publiczności. — Czy nie wspomnisz o pomniku Warneńczyka, wystawionym czy raczéj na nowo podniesionym przez Polaków? W *Illustracyi* jest rysunek tego pomnika. Dawniéj pono była tam kaplica przez Rzeczpospolitę jeszcze fundowana. Dobra okazya przywrócić piękność chrześciańskiéj śmierci królowi, a zdjąć z niego plamę krzywoprzysięztwa, przez narodowych nawet dziejopisów rzuconą na niego. Byłoby to i Rzymowi cześć należną zwrócić. Nie dziw że po narodowych pisarzach powtórzył ją nawet Hammer.“

List ten pisany jest tak drżącą ręką, iż trudno przeczytać. Choroba, o któréj w nim mowa, wielce jenerała osłabiła. Widocznie podu-

padł na siłach i humorze. Między innemi oznakami zwątlenia było chwianie się prawéj ręki, — nie trzęsienie się lub drżenie, jakiego często doznaje się w starości lub chorobie gdy przychodzi podjąć lub trzymać co w ręku, — ale chwianie jak gdyby wahadła. Choć najsilniéj trzymał się za kolano, ręka mu dopóty dokuczała, dopóki nie pozwolił jéj się wywahać przez kilka minut, poczém znowu była spokojną. Z razu wahanie było słabsze a przestanki dłuższe, ale stopniowo zaczęło się to pogorszać, aż w końcu już zupełnie pisać nie mógł. — *Przegląd* drukował się u Kamieńskiego, redaktora *Gazety Wgo Ks. Poznańskiego*, wydawanéj i drukowanéj przez Niemca Deckera. Często więc z Kamieńskim widywałem się. Razu jednego począwszy narzekać że *Gazeta*, lubo jedyne pismo peryodyczne codzienne na całe Księstwo, coraz więcéj traci prenumeratorów, i że przez to już licha jego pensya zmniejsza się, prosił mię czybym czego nie wymyślił dla *Gazety*, coby mogło zająć publiczność. Obiecałem że mu do feljetonu będę od czasu do czasu przysyłał drobne artykuliki, ale pod warunkiem, że nikomu a nikomu, nawet memu rodzonemu bratu, nie wyda autora. Tak się poczęły *Listy z nad Orli*. Przedmiotem ich była tylko literatura i literaci. Nie wchodząc w głąb żadnéj kwestyi, przesuwając się po wierzchu a raczéj skacząc z jednego przedmiotu w drugi, dobierając co mi tylko na myśl przyszło, anegdoty, dykteryjki, a nawet tak memu usposobieniu wstrętne, facecye i dowcipki, pisałem te listy pobieżnie, od niechcenia, zgoła z tą junakieryą niedbałéj rozrzutności, która figlarzy literackich cechuje. Listy te obudziły nadzwyczajne zajęcie. Głównym tego bodźcem była ciekawość, kto mógłby być autorem. To dowodzi jak łatwo podobne ramoty klecić, i tłomaczy nadzwyczajną popularność, jaką zyskać mogą, zwłaszcza jeźli się nie tylko literaturą zajmują, ale i polityką i wszelkiemi tak salonowemi jak i brukowemi sprawami. W jednym z mych listów dotknąłem niedorzeczności i błędów mieszczących się w przedmowach pana Działyńskiego, któremi poprzedzał szacowne swe wydania. Pan Działyński odpowiedział. Wszczęła się polemika, o któréj jenerał w powyższym liście wspomina. Pan Działyński obiecał 500 talarów na zakłady dobroczynne za wiadomość kto był autorem. Redakcya *Czasu* prosiła jednego z mych przyjaciół, aby jeżeli zdoła się wywiedzieć kto pisuje te listy, ofiarował mu jaką zechce zapłatę za dostawianie podobnych artykułów do dziennika krakowskiego. Wspominam te drobnostki tém śmieléj, że te listy uważałem i uważam za wielkie bzdurstwo, za bańki mydlane, istnienia jednéj doby nie warte. Nikt się nie domyślał. Bliżsi nie przypuszczali, abym tak zajęty jak byłem redakcyą *Przeglądu* a nawet jego korektą, gdyż się usadziłem na to aby to pismo raz wprowadzić w ścisłą peryodyczność i poprawność, mógł mieć czas na poboczne drobnostki. Andrzéj, zawsze ciekawy, świdrował na wszelkie sposoby, lecz dojść niczego nie zdołał. Jenerał obchodził zręcznie i z daleka, często i w rozmowie i w listach *Orlę* napomykając. Choć sam zresztą tyle bąków literackich puszczał po świecie, tak był dobrodusznym i na-

iwnym, że łatwo było go oszukać. Około tego samego czasu zaprowadzono gaz w Poznaniu. Zamieściłem więc w *Gazecie* satyrę, w któréj wytykając główne naszéj prowincyi błędy i słabostki, ogłaszałem że teraz przy świetle gazu wcale inaczéj będzie. Między innemi było że już teraz F. M. nie będzie w tekach dusił swoich płodów, i że zecerowie będą bez żadnéj pomyłki bajki jego drukować. Wiersz był gładki, podobał się jenerałowi, który go chwalił, powtarzał, ale autora nie domyślił się.

List z 22go Lutego, wyraźniejszą ręką pisany, tak brzmi:

„Umarł pułkownik Niegolewski. Rozebrawszy go z znanéj powierzchni, która oryginalną nadawała mu szorstkość, jest to osoba warta wspomnienia. Nie uwierzysz jak o nim w wojsku pruskiem mówiono, jak cenionym był przez Napoleona w skutku męztwa nadzwyczajnego, i nadzwykłéj obrotności przy sztabie Berthiera, zwłaszcza w najniebezpieczniejszych posyłkach. Idzie więc o to, abyśmy w oddaniu mu należnego hołdu nie byli przez Niemców wyprzedzeni. Ja i w skutku niezupełnego jeszcze wydobrzenia po mojéj chorobie, i dla tego żem nigdy w wojsku z nim razem nie służył, nie jestem w stanie ułożyć jego nekrologu. Udaj się więc do jenerała, lub którego z jego towarzyszów broni, aby koniecznie coś godnego o nim zamieścić:

Całą młodość przewalczył w różnych polach chwały,
Mężnie wszelkie na kraj swój odpierał napaście,
Najwyższą przecież po nim pamiątką zostały:
Wieniec Samo-Sierry -- i ran osiemnaście.“

Z długiego listu z 28go lutego i jeszcze wyraźniejszą pisanego ręką, następujące przytoczę wyjątki:

„Znalazłem dwa dni lepszego zdrowia i skleiłem jak mogłem. Wolność ci zostawiam odcięcia wszystkiego i wydrukowania saméj *Burzy*. Lecz gdyby wszystko miało być drukowane, proszę nierozdzielać całości. Powiadasz, i słusznie do pewnego względu, że poeta własne utwory źle sądzi, najgorsze czasem bierze za najlepsze. Zdaje się że uczucie estetyczne, bez którego niema poety, powinnoby go ostrzegać o wartości utworu, przecież twe axioma może mieć w sobie i prawdę istotną niekiedy. Ztąd więc posyłam ci miesiąc pierwéj moje wiersze, abyś osądził coby w którym wierszu zmienić należało..... Z recenzyi poezyi Syrokomli nadzwyczajnie byłem kontent. Wiersz Deotymy w *Przeglądzie* wart był bardzo miejsca, które zajął. Czytałem Hołowińskiego przekład pieśni kościelnych. Tłomaczenie podobne jego przekładowi Szekspira. Nie unosi, nie rozczula, a przynajmniéj bardzo rzadko. Wierne dosyć, ale cóż potém, kiedy dusza pozostaje zimna. Może to moja osobista wina. Proszę o odpowiedź. Może przyjdzie jaki wiersz wyrzucić zupełnie, lub innym go zastąpić. Czekam z uległością pokornego skrybenta, rymogniotka, bazgrały, rymarza.“

Do méj rozprawy o Poetach angielskich z 50 lat ostatnich, przełożyłem piękniejsze ustępy z *Rozkoszy Nadziei* Campbella. Trudnym mi

wydał się do oddania ów sławny wiersz: And freedom shrieked when Kościuszko fell. Chciałem koniecznie dla mocy położyć Kościuszko na rymie. Radziłem się jenerała. Ten mi odpisuje 8go Marca:

„A najprzód co do Campbella wierszy. Zapomniałeś o rymie gminnéj piosnki, którą po rozbiorze kraju śpiewali chłopi:

Czerwone jabłuszko
Tadeusz Kościuszko,
A szyszka borowa
Imperatorowa.

Przekład twój (Nadzieja na czas światu przestała być wróżką, I wolność z bolu jękła, kiedy legł Kościuszko) — najbliższy oryginalnéj myśli, ale z naciągniętym bardzo rymem. Po co upierać się przy nim gdy być nie może. Jeźli wiersz jest 13 zgłoskowym, (choć także nie dobrze), wolałbym przecież:

Już się odtąd nadziei sztandar nie rozwinął,
I wolność z bolu jękła gdy Kościuszko zginął.

Ginięcie jest właśnie ostateczną chwilą, a więc dobrze że rzecz zakończa. Nie był wprawdzie zabitym, lecz zginął z narodem. Z resztą masz: spłynął, minął, — zwinął, słynął, — usunął, runął, — odbiegnął, legnął. Sztandar nie jest wyszukany za nadto, bo o boju mowa....“

Jenerałowa Chłapowska umarła w Paryżu 21go Kwietnia. Pisze mi więc jenerał 25go:

„Ziściła się więc skryta bojaźń moja, mimo wszelkich wieści o polepszeniu zdrowia jenerałowéj. Szeroka to żałoba i boleść długa, bo w sercach rodziny szlachetnéj i cnotliwéj, takiéj matki nie zapomina się do grobu. Nie mniéj i w sercach przyjaciół domu, w sercach sług, wieśniaków, nędzarzy, żal ten będzie długi i szczery. Spodziewam się że ciało będzie tu przywiezione i że zawiadomisz wszystkich Morawskich, kiedy hołd jéj ostatni złożyć będzie pora. Biedny, najbiedniejszy z wszystkich jenerał. Odumiera mu tyle pociech i podpor starości. Cios po ciosie! Może Bóg, jako od znakomitszego katolika, wymaga od niego tyle ofiar, aby okazał inszym, jak je człowiek religijny znieść powinien.....

Za niezawodną rzecz mi powiadano że krytyk *z nad Orli* jest S. K. Jeżeli istotnie sekret wyjawiony, to daléj tych listów pisać nie będziesz, co wielką byłoby szkodą. Najlepiéj kontynuować, a rzucić pozór autorstwa na kobietę, krzywdy-by się jéj pewno nie czyniło, a i Działyński jako kobiecie prędzéjby przebaczył. Coby to świergotu narobiło między wszystkiemi samiczkami, co ciekawości i milutkich ploteczek!....

Zdaje mi się że w tém piśmie (*Lipsk i Hanau*) najczystszą prawdę powiedziałem. Chciałem jeszcze dać je do sprawdzenia Skrzyneckiemu, którego słowa przytaczam, ile je pomnąć mogę, a o czém on może sam zapomniał. Lecz już czasu do tego niema.“....

W ciągu lata jenerał jeździł do Karlsbadu a następnie do morza. Powróciwszy, pisze mi 4go Września:

„Latając po lądzie i morzu, wróciłem nareszcie do domu, i wypaliwszy fajeczkę, zabieram się do pisania do ciebie. Wszyscyśmy zdrowi przywlekli się w progi lubońskie, z zwiększoném przecież gronem familijnem. Przywieźliśmy małpeczkę, źródło niewyczerpane zabawy dla dzieci, a nawet dla starszych, dla wsi całéj. Dzieci pewne że i ty nie wytrzymasz, i galopem przybiegniesz poznać się z tym cudem świata, i jeźli szczęście ci posłuży, zaprzyjaźnić się z nim na dobre..... Skarbek i Jaśkowski, znani pisarze, obiecali mi zasilać *Przegląd.* Drugi z pewnością dotrzyma słowa. Skarbek dał mi kilka poezyi, dość dobrych dla *Pokłosia*, niedostatecznych dla *Przeglądu.* Wężyk na 13go *podobno* będzie w Poznaniu. Trzebaby go tam widzieć. Na wyspie Putbus zajmowały mię najwięcéj zbierane tradycye o Światowidzie, lecz mało bardzo dowiedzieć się mogłem. Wszystkie pamiątki zatarł germanizm, czas i christianizm. Najwięcéj przecież zniszczył, wysuszył, zamordował z wszystkiego szydzący protestantyzm co tylko było jakąkolwiek wiarą. Szukałem w Sztralzundzie grobu Poniatowskiego, ulubieńca Karola XII a stryja króla Stanisława, lecz przez tak krótki czas dopytać się go nie mogłem."

Powróciwszy z Putbus jenerał napisał o Światowidzie. Zdaje mi się że to było w *Dodatku do Czasu.* Napisał także wiersz bardzo silny w tymże przedmiocie. — Małpka, którą ztamtąd przywiózł, była powodem uciechy dla wszystkich, ale pono najwięcéj dla jenerała. Znać było bajkopisarza, który tyle o małpach popisał. Lnbił on niezmiernie zwierzęta. Przy wejściu do jego pokoju stała ogromna klatka z bardzo liczną rodziną kanarków, które często tak szczebiotały, że choć drzwi były zamknięte, niepodobna było rozmawiać. Psów w Luboni było zawsze co niemiara. Większym, brytanom, nie dozwalano wchodzić do pokoju. Siadywały więc przed oknami jenerała, chciwie wyglądając rychło twarz ich łaskawcy i karmiciela wychyli się. Przy stole dwa czy trzy pieski kręciły się wciąż, jenerał karmił je przy każdéj potrawie. Brytan jeden, Caro, miał przywiléj wejścia w czasie obiadu, ale musiał pod bocznym stołem siedzieć. Jenerał z daleka rzucał mu ogromne kawały chleba. Małpka, przepasiona przez dzieci, zdechła w lat parę. Pogrzebiona w ogrodzie, ma swój pomnik z wierszowanym napisem. Dynastya Karów nie wygasała. Skoro jeden zdechł, zaraz drugi podobny mu a może jeszcze sroższy i brzydszy na tron, to jest na owo miejsce pod ubocznym stołem, następował. Mógłbym był napisać: Dynastya Carów. Z psami tysiączne zawsze figle wyprawiano. Czasem były one nawet powodem jenerałowi do dowcipnych wierszy. Razu jednego Tadeusz, ujrzawszy w Szmiglu na popasie jak chciano topić biedne szczenie, uratował je od śmierci i zabrał z sobą do domu. Szczenie wyrosło na psa wcale nieosobliwego. Pieszczono go przez pamięć na jego początek. Niewiem dla czego przezwano go Tekelmanem. W parę lat potém na imieniny Tadeusza, jenerał skomponował Tekelmanowi wiersz następujący, i uwiązawszy mu go u szyi, wpuścił do pokoju solenizanta.

Niech i ja także dzień tak miły święcę,
Szczeknę z radości i ogonkiem kręcę,
Bo jakże nie mam w dniu tak drogim skakać,
A raczéj z rzewnéj wdzięczności zapłakać!
Pamiętam bowiem o tym strasznym figlu,
Który los zdradny gotował mi w Szmiglu,
Gdziem miał już zginąć, — a tyś się użalił,
I od tych srogich Niemców mię ocalił,
Co (jak z ust mego słyszałem to Dziadzi)
I psy-by polskie powytępiać radzi.
Może iż za to ukarać mię chciano,
Że, jak w psich dziejach stoi zapisano,
Jeden z mych przodków, wśród Hundsfeldskich łanów,
Najwięcéj pono pozjadał Germanów.
Licznych on psiarni był wówczas hetmanem,
I ztąd go zwano Wielkim Tekelmanem.
Lecz wszystko w świecie gaśnie i upada,
Znikła już pamięć wielkiego naddziada,
A ja wnuk przez Cię z litości przyjęty,
Przychodzę kornie twoje lizać pięty,
Wdzięczność twéj wiernéj psiny ci wynurzyć,
I całe życie na dwóch łapkach służyć.

Tekelman. Własną łapką.

Za oryginalność podpisu świadczą Izia, Hencio, Luiza, Maury i Antoni.

Drugiego rzędu świadkowie:
Obaj Karowie.

13go Września jenerał przesyłając mi rozmaite artykuły Skarbka, pisze o nich:

„Najlepsze *Wolborz.* Jest i *Żelazo*, naśladowanie dzwonu Szyllera. Jeźli będzie przyjęte do jakiego pisma, prosi tylko o podpis S. — W *św. Zofii* (Lenartowicza) jest kilkanaście pięknych wierszy, są i najprozaiczniejsze, są przytém zupełnie ciemne okresy i nie gramatykalne. Autor szukał całéj poezyi w przedstawieniu trzech zgonów, i to zupełnie podobnych do siebie, co szkodzi obrazowi całemu. Należało mu szukać w walce bolejącéj matki, i chrześciańskiéj bohaterki, a przedewszystkiém zgon św. Zofii z nadmiaru boleści wywieść, i w cały urok poezyi przybrać. Voila des points culminants pour un vrai poête. Tu zaś jest jak Deus ex machina. Nie dość świętą rzecz wystawiać, trzeba ją wystawiać godnie. Z tém wszystkiém może to poema Lenartowicza ma jeszcze najwięcéj poezyi z wszystkich dzieł jego. Jak mógł napisać *okrągłą rotundę?* Nie słyszałem nigdy o kwadratowéj. Wiele byłoby do wskazania, ale niebezpiecznie poetów, a do tego świętych zadrasnąć. . . . .“

Jenerał bywał u mnie parę razy do roku, zwykle w maju i drugi raz w jesieni. Przybył więc i w 1857 do mnie z Andrzejem na dłużéj

w czerwcu. Ztąd jeździliśmy do Wierzenicy, do nowo-ożenionego Augusta Cieszkowskiego. Jenerał w tymże czasie prezydował na zebraniu obywatelskiém w Poznaniu, na którém Towarzystwo Przyjaciół Nauk zawiązaném zostało. I ja też przez całą zimę z 1857 na 58 i przez następną wiosnę bardzo często bywałem w Luboni. Andrzéj tam najzwyklėj przebywał, zajęty korektą *Stefana Czarnieckiego* i *Pamiętników* ojca. Jenerał był wesół i niezmiernie ożywiony. Nagadać nie mogliśmy się to o literaturze, to o polityce, to o dawnych czasach. Zdało się, że Piotrowickie czasy wróciły. Ale Andrzéj nigdzie długo wysiedzieć nie mógł. Lubił niezmiernie świat i zabawy. Wciąż więc wycieczki czynił po Księstwie, częstokroć mimo najgorszéj drogi, zawiei, a co gorsza, nieubłaganéj pedogry, ale i na tę ostatnią miał sposób, nosił zawsze przy sobie jakieś krople, jeszcze mu przez Malcza przepisane, za których zażyciem zaraz pedogra ustępowała. Tych to kropli nadużycie przyśpieszyło mu śmierć podobno. Jenerał zwał go bałamutem, gdyż zawsze porwany jakąś nową zabawą, nigdy na przyrzeczony czas nie wracał, a gdy wrócił, zawsze się pokazało że coś z rzeczy w drodze zgubił lub u przyjaciół zostawił. Jednego więc razu takim go jenerał przywitał wierszem:

Jak ów lud polski radością rozkwitał,
Gdy znów na tronie Kazimierza witał,
Tak i my w staréj śpiewamy ci nucie:
Witaj nam, witaj, miły bałamucie.

Rzuciłeś dla nas zdradne świata wędki,
Kielich, romanse, trufle i gawędki;
Wracasz, przyjazne niosąc nam uczucie,
Witaj więc, witaj, miły bałamucie.

Wracasz, lecz może nie zupełnie cały,
Bóg wie gdzie szelki, krople się zadziały,
Lecz choć bez czapki i o jednym bucie,
Witaj nam, witaj, miły bałamucie.

Postać ówczesną i życie Luboni Andrzéj dobrze skreślił w swym *Domu starego wielkopolskiego wieszcza.* Rozmaite téż jenerałowi sprawialiśmy nieraz niespodzianki i facecye. Jedną tylko przytoczę. Heliodor Skórzewski przeznaczył był nagrodę za napisanie satyry na grę w karty, i sędzią jenerała wyznaczył. Ten, bojąc się obrazić kandydatów, zdał sąd na Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Mimo tego jednak do niego przychodziły wypracowania ubiegających się o nagrodę. Myśmy więc umyślili na żart podobną mu satyrę przesłać. Ja znalazłem dewizę i napomknąłem kilka pomysłów. Andrzéj, posiadający nadzwyczajną łatwość wierszowania, siadł, i w parę godzin następującą uklecił od ręki:

Nocturnis juvat impallescere chartis.
Persjusz.
Od kixów, maryaszów, kasztelanów, ćwików —
Wizyta w sąsiedztwo. Fr. Morawski.

Znoście mi tutaj rózgi, nahaje i bicze,
Uknutowaną dłonią młódź naszą wyćwiczę,
I póty będę smagał, chłostał bez litości,
Skórę będę czerwienił, łamać będę kości,
Łzami zaleję Poznań, Kraków i Warszawę,
Aż nareszcie zobaczę skruchę i poprawę.
Po wsiach nawet z przestępców żaden się nie skryje,
I tam go w grzechu sięgną i wytłuczą kije.
„Jakiż to grzech, przestępstwo, twój bicz tak wymaga?
„Jakaż polską społeczność trawi dzisiaj plaga?
„Czy obżarstwo, pijaństwo, pieniactwo, rozpusta?
„Czy głowa dzisiaj grzeszy, czyli brzuch, czy usta?
„Na jakiż sprośny nałóg tak jesteś zażarty?“
Co? Chcesz wiedzieć na jaki? Na karty, — na karty!
Karty, karty są młodzi zgubą i ohydą,
Za niemi wszystkie grzechy i występki idą.
Cała czereda graczów, w szulerstwo zaciekła,
Od zielonych stolików wprost pójdzie do piekła.
Szukaj mi jaki rym jest właściwy do *karta.*
Szukasz. Znaleźć nie możesz. Znalazłeś: do czarta.
Tak od czarta bezecne szulerstwo pochodzi,
Wymyślił je na zgubę i starszych i młodzi.
Zalewały świat dawny występki i grzechy,
Ale z nich djabeł jeszcze nie miał dość pociechy,
Nie dość bydła zgromadzał do swojéj obory,
Nie dość mu było jeszcze Sodomy, Gomory,
Nie dość Rzymu dawnego zbrodni i rozpusty,
I okrucieństw Cezarów i trucizn Lokusty,
Nie dość, że ludzie w złości zaciekli, zajadli,
Już od początku świata zabijali, kradli,
Żony mężów zwodziły, rodziły bękarty, —
Więc djabeł cóż wymyślił? ot wynalazł karty.
Wszak nas kształcić powinny wielkich mężów wzory,
Wspomnijmy Tezeusze, Achille, Hektory,
Wśród Sparty Leonidy, w Atenach Miltiady,
Wielcy męże w ojczyznie do boju i rady,
W szczęściu umiarkowani, w nieszczęściu wytrwali,
Spytam was, czyli kiedy w życiu w karty grali?
Czy Sokrates z Platonem, z Zenonem Stoikiem,
Nad zielonym noc jaką przepędził stolikiem?

Czy Scypion albo Cezar, który świat zdobywał,
Wśród chwil nawet spoczynku preferansa grywał?
Czy i przodkowie nasi, świetną głośni sławą,
Cnotą obywateli, i rycerską sprawą,
Czy Zamojski, Żółkiewski, te wielkie hetmany,
Czy Sobieski pod Wiedniem gromiąc Bisurmany,
Co może oręż polski pokazawszy światu,
Zagrał kiedy totusa albo téż sans atout?
A wam, tak wielkich ojców wyrodni synowie,
Nie ich chwała i czyny marzą się po głowie,
Lecz dla was innéj chluby, innéj chwały niema,
Tylko zrobić totusa albo téż dać szlema,
Albo w djabełka pulę zabrawszy po puli,
Choć najlepszych przyjaciół zgrać aż do koszuli.
Niech jeszcze was satyra porządnie wybeszta,
Że często was zgromadza kwindeczowa reszta.
Tak, panowie, *do reszty* na siebie wołacie, —
Tyś oddawna do reszty poszedł, miły bracie,
Skąd się te resztki biorą, aż się mąci w głowie,
A chyba mi ten sekret jaki lichwiarz powie.

Dawniéj młodzież z królami spieszyła na boje,
Krajowi wierne służby oddawała swoje.
Dziś ojczyznie-ż czy królom poświęcacie życie?
Tak królom lecz kartowym podobno służycie.
Inne jeszcze od ojców naszych wzory mamy,
Oto hołd od młodzieży odbierały damy,
Usługi poświęcali im nocne i dzienne,
A wy dbacie o damy, ale o czerwienne.
Więc staliście się wszyscy, przyznajcie to sami,
Waletami we Francyi, w Polsce niżnikami.
Mąż zacny, obywatel, powziął myśl budowy,
Wzniósł ją w pośród Poznania nasz grosz narodowy,
W niéj, że w swoim są kraju, czuć mieli rodacy,
Przytułek w mieście znaleźć, spoczynek po pracy.
Powiedzcie, czyście myśl tę zachowali wiernie?
Jak w resursie warszawskiéj robicie szulernię.
Zbieracie się tam wprawdzie, lecz czy się zbieracie,
Aby radzić o kraju potrzebach, oświacie,
Obudzać ruch umysłów, oświecać się wzajem?
Nie, — zasiąść gry stoliki jest waszym zwyczajem.
Miłość się tam przy kartach nie obudzi bratnia,
Lecz z dymem cygar wasze mienie się ulatnia.
Po co tém, co ojczyste, mącić sobie głowę,
Lepsze, lepsze są karty, bo wszechnarodowe.

Gdy w każdym kraju karta każda jedno znaczy,
Pruskie czy ruskie równie miłe są dla graczy,
Może nawet na ruskich przechylą się stronę,
Bo w moskiewskich, jak wiecie, są brzegi złocone.
Ale za to w kąt poszły stare polskie nasze,
Maryasze zniknęły, przyszły Gieryłasze.
Weźmy parę przykładów. Znasz mego sąsiada,
Wszak ma na czém pracować, ma wioskę nielada,
Już nieco odłużoną. Znajdzież-że w nim statek?
Choć ma żonę poczciwą i kilkoro dziatek,
Choć mógłby znaleźć szczęście i przyjemność w domu,
Do blizkiego miasteczka zmyka pokryjomu,
Aby tam zapomniawszy o wiosce i żonie,
Noce bezsenne trawił w kartowników gronie.
O! wtenczas gospodarstwo idzie mu paradnie,
Ekonom jarmarkuje, a zaś włódarz kradnie.
A on, od gry wróciwszy, czyż tryb życia zmieni,
Choć znajdzie pustki w śpichrzu, i pustki w kieszeni?
Ten jegomość niedawno ślubne zawarł związki,
Ale jakże małżeńskie spełnia obowiązki?
Chociaż żona posażna, i hoża, i młoda,
Od gry go nie odciągnie młodość ni uroda.
Zostawia on ją samą, a więc opuszczona,
Także partyi dla siebie innéj szuka żona.
Ów młodzik ojca mienie stracił na początek,
Parol już na stryjowski zagina majątek.
Stryj umiera, nadzieja wszelka z stryjem znika,
Bo przecież wydziedziczył karciarza młodzika!

Dość już was wysmagałem jakby żaków w szkole,
Głosem serca, rozsądku, odezwać się wolę.
Pomnijcie coście winni, rodacy, krajowi, —
Co zasługę, co cnotę, w Polaku stanowi,
Jak macie kształcić umysł, uprawiać tę ziemię,
Aby z was nie wyrosło wyrodzone plemię,
Porzućcie tę zabawę, skoro zobaczycie,
Że namiętność wyradza i zakłóca życie,
Że trawi nam majątek, wszystkie dnie, godziny,
I w przepaść wpycha wasze domy i rodziny.
Wierzcie mi: karty wszystkie nic a nic nie warte,
Wolno wam tylko kochać konstytucyi kartę.

Satyrę tę posłaliśmy jenerałowi z następującym listem:

Jaśnie Wielmożny Jenerale!

Wyczytałem, w Gazecie W. Ks. Poznańskiego z dnia 27 Czerwca, ogłoszony konkurs na satyrę przeciw kartom. JW. Pan, jak nestor prowincyi naszéj w poezyi i w cnocie, masz być sędzią nadesłanych satyr. Moją, — jedną z pierwszych prób młodzieńczych zdolności, — pod sąd JW. Pana oddaję. Jeźli będzie miała szczęście zyskać jego wybór, zamierzam poświęcić się zupełnie muzom, i dalsze płody mego natchnienia nie omieszkam pod światły jego sąd poddawać. Upraszam o umieszczenie w Gazecie dewizy mego utworu, a bez zwłoki zgłoszę się po nagrodę.

Zostaję z najwyższą czcią i posłuszeństwem,

Nocturnis.

Najwięcéj jenerała przeraziła ta zapowiedź dalszych przesyłek młodego wierszopisa. Na żarcie się nie poznał, i zaraz tę satyrę odesłał Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Wiadomo że Towarzystwo przyznało nagrodę satyrze Konstantego Gaszyńskiego.

22go Września 1858 jenerał pisze mi:

„Miesiąc temu jak żadnéj o tobie nie mam wiadomości, radbym więc wiedział jak zdrowie, czy polepszone, czy téż wahające się jeszcze..... Zdrowie moje nie gorzéj, nie lepiéj, chodzę, jem dość dobrze, i jakbym się już nudził doczesnością, ziewam wiecznie. Skarbek przysłał mi ze dwanaście swoich drukowanych komedyi. Grano ich 28. Dziwno mu więc i żałośnie, nie tak że ich nigdzie nie chwalą, jak że w żadnéj historyi literatury, w żadnym artykule wyliczającym naszych autorów dramatycznych, nie był dotąd wspomnianym jak gdyby nie istniał nawet. Prosi więc aby *Przegląd* choć słowo o nich powiedział, i jaką może mieć zasługę w literaturze narodowéj, szczerze wyznał. Trzeba będzie coś w téj mierze uczynić. Słuszném bowiem wydaje się jego żądanie. Drukuje swoje dzieło o *Ekonomii Politycznéj*. *Historyi Xięstwa Warszawskiego* nie dozwoliła cenzura. — Aż wyłajać musiałem Andrzeja za narzekania i jęki, że dotąd o dziełach jego ojca krytyka milczy, gdy ledwie czasu było dosyć do ich przeczytania. Słyszałem w wielu miejscach mówiących, że *Pamiętniki* nie powinny były być drukowane, bo wiele ohydy obnażają. Tym sposobem nie pisać-by potrzeba lecz kłamać. Ojciec Andrzeja tak malował jak widział, jak ja, jak wszyscy ówcześni. Syn mój sieje, dość zdrów jak i dziecinki. Całe Riesengebürge zwiedziły z ojcem, i był czas, gdziem od syna z gór szląskich, od córki z Tatrów odbierał listy. Warjatka! kruchą łódką puściła się po Morskiém Oku! Klęknęła w zachwyceniu na szczycie Tatrów, wołając: święty, święty, święty! Ale już dość tego. Jak gdyby przyjaźń umacniała mi rękę, nie trząsła mi się wcale, bazgrałem naturalnie.... Z Krakowa przysłano mi ogromny patent na członka Towarzystwa Naukowego, pieczęć jak zegar ratuszowy, — bez żółci, choć podpisany: Wężyk.“

Córka jenerała, Marya hr. Jezierska, odziedziczyła po ojcu wielki

pociąg do poezyi. Wiele téż zgrabnych pisała wierszy. Komedyjki jéj są pełne dowcipu. Gdy Deotyma poruszyła całą Polskę swą uroczą pieśnią, Pani Jezierska pisząc do ojca o doznanych ztąd wrażeniach, dodała że już teraz nie odważy się ani na wiersz jeden, bo gdy słowik zaśpiewa, wróbel umilknąć musi. Na to jenerał taką przesłał jéj bajeczkę, aby wiedziała jak ma odpowiedzieć tym, którzyby jéj całkiem zamilknąć radzili:

„Siedź sobie cicho i ptaków nie gniewaj,
„Śpiewaj jak słowik, lub wcale nie śpiewaj.“
Tak pochopny do nauczek,
Rzekł do żony wróbla kruczek.
A ta na to tak odpowie,
W swojéj ptasiéj mowie:
„Wyrównać słowikowi próżne to nadzieje.
„Dla niego brzmiące i lasy i knieje,
„Wonie i rajskie gaiczki.
„Sława to wielka,
„Nie dla wróbelka,
„Zwłaszcza samiczki!
„Lecz że i jéj z darów losu,
„Dostało się trochę głosu,
„Czemuż sobie niema nucić,
„Piosnką się cieszyć lub smucić?
„Wreście, cóż to szkodzi komu,
„Że czasem zaświergoce, — i tylko przy domu,
„Że tym śpiewem dzień osłodzi,
„Krótką sobie rozkosz sprawi,
„Wróbla swego rozpogodzi,
„I dzieci w gniazdku zabawi?“

Jak różne drzewa,
Tak różne owoce.
Niech słowik śpiewa,
A wróbel świergoce.

Pod dniem 22go Października pisze, znać po jednéj z mych wycieczek do Luboni:

„Zapomniałeś zabrać z sobą *Teatr* Skarbka. Posyłam ci go więc wraz z listem do mnie pisanym. Tak ubodzy jesteśmy w dramytyce, że warto wspomnieć o autorze tych sztuk. Przedmioty są, jak to mówią, scabreux, jak często w komedyach zwłaszcza francuzkich bywa, ile możności jednak przyzwoitą osłoną pokryte. Długości niepotrzebnych prawie nigdzie niema, dyalog dość żwawy, a zawsze węzeł dramatyczny dobrze zawiązany. Nie wyrównają te dzieła Fredrze, ale są tysiąc razy dramatyczniejsze nad wiele nowych komedyi, a zwłaszcza Sy-

rokomli. Widać że autor zajęty ważniejszemi pracami, pobieżnie tylko i dla rozrywki je pisał. Nie są bez talentu kreślone, zasłużył więc aby go wspomniano w rzędzie dramatyków polskich, zwłaszcza że są sztuki, które kilkadziesiąt razy wystawiane na pierwszym teatrze narodowym, i z upodobaniem przez publiczność *ówczesną* przyjęte były. *Zosia Przybylanka* i *Sumienie* mogłyby być zawsze wystawiane. Syrokomla trzecią już sztukę daje na scenę. Po *Karlińskim*, *Chatce w lesie*, *Flisa* pono napisał. Z resztą w braku dzieł nowych dramatycznych, warto zwrócić oko na stare...... Piękne i zadziwiające stryja wyrażenie znalazłem w *Czarnieckim:*

Niema język rycerski do tkliwego pienia
Słów miękkich jak pieszczota, lekkich jak westchnienia —

Ucieszyłem się niemi niezmiernie. Petrarka nie wyraziłby się lepiéj"

6go Grudnia, długi list temi kończy wyrazy:

„Ale co najboleśniéj dla mnie, wilczata moja zdycha. Żaden' Arab nie rozstawał się z swym koniem tak smutny jak ja z nią. Żal mi jéj jako

Staréj sługi i w szkapie przymioty bogatéj,
Bo wreście, cóż ja będę znaczył bez Wilczatéj?
Po Wilczatéj mię znają, kiedy po obiedzie
Stare Jeneralisko na wizytę jedzie.
Po Wilczatéj mię znają, kiedy z karym w parę,
Odwożą do spowiedzi moje grzechy stare.
Wlokłem się, marząc sobie, że gdy zejdę z świata,
Aż do grobu mię moja odwiezie Wilczata,
Tak się to z losem ludzkim wiążą losy szkapie......

Dokończ, bo ja z żalu nie mogę..... A jeszcze jedno. Znalazłem stary i nieznany wierszyk do Hencia[1]), za życia jeszcze matki pisany. Spowiadam się więc tego starego grzechu:

O nie plam, dziecię moje, twéj duszy tak czystéj,
Wonnéj jak kwiat ołtarza, a jak łza przejrzystéj.
Bądź nam świtem poranku, co słońcem rozdnieje,
Niech słodkie ust twych słowo tak się zawsze leje,
Jak dźwięk fletni pasterskiéj. Bądź w każdéj godzinie
Gołąbkiem w pośród dzieci, aniołkiem w rodzinie.
Wprawiaj się w drobne cnoty, wprawiaj, dziecię lube,
Aby ojciec mógł w tobie swą przeglądać chlubę.
A kiedy nad poziomsze już się wzniesiesz dziatki,
I główką twą dorośniesz aż do serca matki,
Obyś wówczas usłyszał jak radośnie bije,
Że jéj duszka tak droga podług Boga żyje.

Chciałem przy końcu rozśmieszyć cię głupim wierszem, i podobno mi się udało."

---

[1]) Wnuk jenerała.

Na początku roku 1859, Maryanna Chłapowska, córka państwa Chł. z Czerwonéj wsi, oświadczyła rodzicom życzenie wstąpienia do klasztoru. Drugą to oni już córkę oddawali wyłącznéj służbie Bożéj. Z tego powodu jenerał napisał do mnie list obszerny, w którym znajduję następujący wiersz o tych zacnych rodzicach:

Niebem ziemskie żale kojąc,
Niech się cieszą swemi losy.
Bóg ich w te dwa skrzydła strojąc,
Złatwił im polot w niebiosy.
Dwóch gołąbków hymn codzienny
Będzie o nich Bogu śpiewać,
I z dwóch gwiazd się blask promienny
Z łaską na ich czoła zlewać.

Z listu z 19 Lutego 1859 r.:

„Co do zarzutów, które czynisz *Czarnieckiemu*, dałoby się coś jeszcze znaleść na obronę. Zresztą niema wielkich poematów bez wielkich błędów. Tass i Milton dowodem. Pierwszy czasy Armidy z chrześciańskim poematem zmięszał, drugi armaty przez aniołów nabijał i prochem strzelał, nim był wynaleziony. Siemieński dowodzi że Epopei już być nie może, a łaje stryja, że jéj nie zrobił. Nazywa dzieło wierszowanym żywotem bohatera, a nie zważa na zbudowaną całość, jakby ta nic nie znaczyła. Mówi o braku charakterów, choć Lubomirski i Pasek dobrze odrysowani. Zapał wściekły Beliny nie obraża mię wcale. Patrzyłem na przykłady podobne. Szał młodości unosić tak zwykł, bez rozwagi działać, śmierci szukać nawet tam gdzie niekonieczna. Żądza bohaterstwa zaślepiła młodego studenta tak dalece, że ofiarowanie mu życia mógł wziąść za wzgardę wieku i męztwa. — Widzisz jak mi się ręka trzęsie, bolałem przytém na oczy i jeszcze boleję, jak i ty boleć będziesz po czytaniu mego listu.“

Nad śmiercią Zyg. Krasińskiego bardzo jenerał cierpiał. Mimo coraz większego upadku sił, był na uroczystém żałobném nabożeństwie, które się w Marcu odbyło w Poznaniu. Na 2go Kwietnia jak zwykle pojechałem do Luboni. Jenerał przedstawił mi wtedy swój projekt *Towarzystwa Antipojedynkowego* polecając abym, skłoniwszy jenerała Chłapowskiego i innych do zajęcia się tym przedmiotem, starał się Towarzystwo takie przywieźć do skutku. Było to nad moje siły, i myślę że nikt jeszcze nie zdołałby zwalczyć przesądów i drażliwości, któremi się utrzymują pojedynki. Zwróciłem więc zaraz jenerałowi projekt z żalem, że nie jestem zdolny mu pomódz, i bez żadnych uwag, gdyż te były niepotrzebne, skoro rzecz nie była jeszcze na czasie.“

Pod dniem 12go Kwietnia jenerał pisze mi w tymże przedmiocie:

„Po odjeździe twoim, zastałem na moim stoliku zwrócony mi projekt do wiadomego Towarzystwa, lecz bez żadnych uwag, rad, poprawek, bez podania nawet sposobów do zawiązania i rozkrzewienia jego. Jeżeli projekt ten nie zasługuje na twoją uwagę, czemuż mi szczerze nie wy-

jawisz prawdy? Jeżeli zaś zasługuje, czemu mię nie wesprzeć twoją światłą radą? Może nie miałeś dość czasu do roztrząsania przedmiotu w Luboni, raz więc jeszcze posyłam ci ten projekt. Rozważ go, choćby najdłużéj trzymaj u siebie, a potém napisz otwarcie co myślisz o tém. Ja dość wagi przywięzuję do téj rzeczy, bo to będzie najlepszém dziełem, które po sobie zostawię, jeżeli się uda projekt ten w życie wprowadzić. Mam nadzieję, że wiele grzechów przez to zetrę, a w moim wieku spekulacya to bardzo przyzwoita. Im prędzéj-by się Towarzystwo zawiązało, tém więcéj zasługi, — im dłuższa zwłoka, tém wina cięższa. Sam zresztą niczego dokonać nie zdołam. Trzeba mi wsparcia i proszę o nie. Maż-że być tak trudno pomagać dobréj rzeczy i świętemu zamiarowi, póki tylko cień podobieństwa zostaje, że cel osiągnąć się może..... Odczytałem z uwagą kazanie Prusinowskiego, wstęp przepyszny, charakterystyka Zygmunta i ducha jego dzieł bardzo trafna i prawdziwa, myśli pięknych wiele, styl tylko niekiedy precieux kłóci się z piękną prostotą języka polskiego. Gdyby niebył tak obarczony girlandami kwiatów, możeby większe jeszcze wrażenie czynił z kazalnicy. Wielka moc jest w pomysłach, lecz ta rozpływa się w zbyt długich okresach. Tłum chce być porywanym, unoszonym lub przybitym. Jedném słowem, jest to jedno z najpiękniejszych kazań kościoła katolickiego, mimo kilku błędów, które może nie dadzą się oddzielić od zdolności i natury autora.“

W 1860 r. dzień drugi kwietnia przypadał w sam wielki tydzień. Odłożono więc jenerała imieniny do 10go Kwietnia. Zebrało się wiele osób. Każdy jednak był smutnym, bo czuł że może to po raz ostatni święto jenerała obchodzi. Jenerał Chłapowski wniósł zdrowie solenizanta i przypominając mu wszystkie ważne chwile, w których się społem znajdowali, skończył życzeniem aby i w przyszłém życiu mogli być razem, i dla tego kto tam pierwszy się dostanie, winien drugiemu kwaterę zamówić. Jenerał Morawski czule podziękował, dodając, że chyba modlitwy jego towarzysza i przyjaciela zdołają mu wyrobić przy nim miejsce w niebie.

. . . .

I w 1861 2go kwietnia byłem w Luboni i jeszcze kilka dni po imieninach jenerała tam zabawiłem. Czytaliśmy dużo wierszy i o literaturze wiele rozmawiali. Wiosna już na dobre ziemię budziła. Wtedy to napisał ów piękny wiersz:

Życie się z ziemi trawką wyciska,
I w całéj budzi się sile,
Z każdego pączka miłość wytryska,
Boleść usypia na chwilę.

Czemuż się życiem téj wiosny nie cucę,
Co dla wszystkich tak radośna,
Może ja, może dla tego się smucę,
Że to ostatnia już wiosna.

Słyszę ja z gaju brzmiący śpiew słowika,
Pszczółkę co nad kwiatkiem brzęczy,
Ale mię głębiéj głos dzwonu przenika,
Co gdzieś tam z wieży mi jęczy.

. . . .

Przyjechawszy pod koniec października na imieniny Tadeusza, kilka dni w Luboni przesiedziałem. Jenerał nie chciał mię żadną miarą puszczać, jakby przewidywał że to już ostatni raz widzimy się. Mówił wiele i o religii i o śmierci. Czasem tylko zajrzał w swą tekę i z dawnych wierszy co przeczytał. Z nowych, może ostatni, był następujący:

Wszystko zwiędło trawki zbladły,
Zaległ ziemię liść opadły,
Wzmaga się pomrok wieczoru,
Zimny wietrzyk mię owiewa,
Obnażone szumią drzewa,
I puszczyk huczy po boru.
Smętna myśl się w umysł ciśnie,
Z nią raz po raz łza zabłyśnie,
Coś mnie ciągnie do stóp krzyża,
Bije z dala dzwon kościoła,
Ach rozumiem, wszystko woła,
Że i dla mnie czas się zbliża.

I przewidział. Zacna ta dusza uleciała do Boga 12go Grudnia. Tak byłem chorym, że nawet na pogrzebie być nie mogłem. By ulżyć sercu, napisałem tylko nekrolog, który *Dziennik* jako wstępny artykuł umieścił. Teraz czyniąc te wyciągi z jego listów i dodając konieczne komentarze, zdaje mi się jak gdybym w jakim śnie na nowo przeżył te lat dwanaście z ukochanym jenerałem. Rzadki to był człowiek. Umysł tak wzniosły, tyle dowcipu, a przecież żył najwięcéj sercem. I mnie téż przez przywiązanie za nadto wynosił i przeceniał. Jego więc listy w znacznéj części tyczą się tego, com mówił, com pisał, okołom czego się krzątał. Dla tego téż, chcąc je dostatecznie objaśnić, musiałem tu tak często mówić o sobie samym, coby inaczéj na śmieszną chełpliwość zakrawało. Śmierć jenerała a wnet potém p. Stanisława Chłapowskiego, z którym dziwnie we wszystkiem się zgadzałem, osamotniły mię prawie zupełnie. Są obywatele równie im godni i oświeceni, ale albo nie mojego wieku, albo nie mego usposobienia. Spisując téż ten rodzaj pamiętnika o Franciszku Morawskim, wciąż mi przychodziło na myśl owo zdanie: O quantum minus cum aliis versari quam tui meminisse.

Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu, ulica Berlińska Nr. 32.
Nakładem Redakcyi.